

KORNEL MAKUSZYŃSKI



8-3

# MOJE LISTY

WYDANIE DRUGIE.



~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~



774

*Handwritten signature*

KSIĄŻKI CIEKAWY  
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Warszawa, Sienkiewicza 12.

1923

774



Mak

Moj

8-3

~~777~~

~~774-3~~

Autor tych listów uprzedza, że chociaż sam jest człowiekiem tkiwym, przytem pobożnym i statecznym, że chociaż jego listy również takie i mogły by być napisane rosą niebieską na płat śnieżnej leliji, — jednakże obłuda ludzka może się w nich drzeć wyrażen źródnych, co autora serdecznie martwi i oburza. Listy te bowiem zostały przez niego napisane w celach moralnych. Pisząc je, autor wciąż podnosił wzrok ku niebiosom, a Anioł Św. był zawsze przy nim.



SN

21561

821.162.1-92

## ZIMOWE LISTY Z ZAKOPANEGO.

---

### I.

Nałóg pisania listów. — Dziwne powietrze. — Perła zakopiańskiej biblioteki. — „Katechizm dla nowożeńców i małżonków“. — Duchy, zmory i upiory, — Powszechna propinacja. — Kwiczoły i ich pośmiertne zwyczaje. — Rozpusta światła. — Przeczucie wiosny. — Straszliwa przygoda śpiewaczki.

~~Każdy~~ Nałóg, jak to nam zresztą w szkole tłumaczono, — jest rzeczą nieprzystojną, — mój zaś nałóg pisania listów ze wszystkich stron świata, a szczególnie z Zakopanego, przeszedł już w rozpustę. Pisałem stamtąd listy w lecie, teraz znów napisałem „zimowe“, co powoli zaczyna zwracać uwagę psychiatrów, z miłym uśmiechem zawsze mi się przyglądających. Ja jednakże rozpustny ten i niepojęty nałóg tłumaczę sobie właściwością niezbadaną powietrza zakopiańskiego, które dziwnie sprzyja wszelkim rozwiązłym manjom i w którym wszystko stać się może.

Claude Farrere twierdzi, że powietrze Saigonu rozpuszcza w sobie wszelkie skrupuły. Nie zna taki Zakopanego i odrazu wyjeżdża z Saigonem. Wielkie miasto Saigon i podzwrotnikowe romanse! Myśmy także sroce

nie wypadli z pod ogona. W Zakopanem także można zobaczyć nie byle co.

Bez wielkiego tedy zdumienia znalazłem w bibliotece jednego z wielkich pensjonatów zakopiańskich cudną książeczkę, której obecność wydała mi się w tym miejscu słuszną i bardzo pożyteczną. Opłaciły mi się mozoły przy wertowaniu ogromnej z doskonałym znawstwem układanej przez całe pokolenia biblioteki; biblioteka taka w Zakopanem zawiera: drugi i piąty tom „Krzyżaków“, „Trędowną“ Mniszkówny, książkę kucharską Monat Ochorowiczowej (precz z Ćwierciakiewiczową!), katalog wystawy podhalańskiej, i obszerną połowę jednej z moich książek, czemu się zbytnio dziwić nie należy, zważywszy, że książka jest gruba, a uczeniwy suchotnik umierał zwykle (z radością i ulgą naturalnie), w połowie jej czytania, drugiej więc połowy użytyo do zatykania dziur, przez które łążą myszy.

W takiej to bibliotece, jednej z najzasobniejszych w letniej stolicy, znalazłem książkę dziwną, bardzo dziwną, pod tytułem:

„Katechizm dla nowożeńców i małżonków — opracował ksiądz Albin, wydał w Tarnowie Z. Jeleń“.

Boże ty mój! Poradnik dla nowożeńców wydał człowiek, który się nazywa — Jeleń! Ha! To się może zdarzyć tylko w Tarnowie. Koziół pilnuje kapusty, a Jeleń naucza nowożeńców! Już to samo wydało mi się rzeczą, godną głębokiej uwagi. Potrzebę jednak nieocenionej tej książeczki w Zakopanem, zawarte w niej

głębokie uwagi i myśli, zrozumiałem i oceniłem słusznie wtedy dopiero, gdy poznałem cudowną beztroskę zakopiańskiej zimy.

Są w tej książeczce ustępy niewypowiedzianej wzniosłości, tchnące przedziwną mądrością. Katechizm ten zadaje groźne pytanie i natychmiast z tkliwą słodyczą na nie odpowiada.

Więc naprzykład:

Pytanie: „Jakich środków powinno się używać, aby wytrwać w dziewictwie?”

Odpowiedź: „Aby wytrwać w dziewictwie trzeba umartwiać swoje zmysły, mianowicie swoje uszy i oczy, a potem i całe ciało. Wszystkie pokusy przeciw czystości natychmiast odpędzić od siebie, wołając: Jezus, Marjo, Józefie święty, ratujcie mnie!”

To jest śliczne. Poznawszy więc uczciwe tendencje i niezawodne, a bezcenne rady tej książeczki, rozpowszechniałem je w Zakopanem, jak można było najszerszej, co wydało natychmiastowe owoce, od tego bowiem czasu apostolskiej mojej misji nie słyszałeś nic innego, jak to nabożne wezwanie o niebieską pomoc. Wiele dziewic machnęło wprawdzie ręką, jedna mi zaś rzekła gorzko:

— Że też pana djabli przyniosą zawsze o dwa dni za późno...! — jednakże najmniej pół Zakopanego modliło się w ten sposób.

Wezbrana pierś dziewicza podczas tańczenia shimmy westchnęła nagle:

— „Jezus, Marja, Józef, ratujcie mnie — natychmiast!“

Tak to, tak. To samo na saneczkach (ludzie są przewrotni), na bobsleju (ludzie są wywrotni), na nartach (ludzie są przemyślni), w kinematografie (ludzie są bezczelni).

Widząc niebywale skutki mojej misji ewangelicznej, postanowił lekarz klimatyczny rozpowszechnić tę zacną książkę na koszt gminy, najważniejsze zaś z niej ustępy ogłaszać od czasu do czasu miejscowym zwyczajem przez woźnego przy odgłosie bębna, lub wydrukowane powiesić u Trzaski, u Karpowicza i w każdym większym pensjonacie.

Wedle moich spostrzeżeń, sprawa jest bardzo pilna, zdaje się bowiem, że podniecająca ostrość stolicy tatrzańskiej, miarkowana w zimie przez wielkie mrozy, potęguje się pod wiosnę i gotowa w niejednym wypadku wydać owoce. Zresztą w Zakopanem istnieje sanatorium dla księży, z których każdy z osobna ma w niebie nie byle jakie wpływy, jeśli zaś jednego dnia nagle, na komendę, krzykną wszyscy wielkim głosem, cóż się wtedy stanie z tobą, drewniana, brudna, zabłocona, złydziała, fałszywa perła Tatr?

Kiedy gruby jakiś kanonik, którego kompanja cała aniołów do nieba nieść będzie, bo jeden by omdlał z wysiłku, potężnym głosem wyrecytuje opowieść o Sodomie i Gomorze i zapłacze nad tobą, wtedy niebieskim ogniem spłoną twoje budy.

Może ocaleje jeden Karpowicz, opasły Rageneau Zakopanego, tyle bowiem wody, ile ten człowiek ma w butelkach swego wina, nie zmieści żadna parowa sikawka.

Krótko mówiąc, w Zakopanem jest w zimie bardzo wesoło i przytulnie; wielkie mrozy zmuszają ludzi do przytulenia się od czasu do czasu. Jest to rzecz zrozumiała i niewinna, więc ksiądz Albin i jego wydawca p. Jeleń, zbyt nich o to pretensyj do ludzi mieć nie mogą. Cóż złego może się stać w obliczu słońca?

I dopiero gdyby przy migotliwym świetle gwiazd mogli ujrzeć urodę życia zakopiańskiej nocy, osiwiłby zacny ksiądz Albin, zwarzowałby sympatyczny pan Jeleń.

Zimowi goście Zakopanego objawiają bowiem nocą dziwnie niespokojną ruchliwość i chorobliwą żądę przygód; jednym widocznie nie pozwala zmrużyć oka troska o Jaworzynę, innym sprawa mistrzostwa Tatr spędza sen z powiek. Myślę, że tylko to i nic innego, wbrew głupim plotkom, jest powodem, że od samych nocnych westchnień, zawsze rano robi się w Zakopanem odwilż. Znawcy stosunków miejscowych twierdzą też, że wielka ilość myszy w zakopiańskich pensjonatach powoduje zdumiewającą ruchliwość nocy, bo w istocie cóż ma robić, jakieś biedactwo damskie, bardzo płochliwe, bez męskiej opieki, samo jedno wśród głuchej nocy, która wyje wśród smreków?

Ma umrzeć ze strachu sama?

Sama, jak palec?

Wszystko trzeba sobie umieć wytłumaczyć; więc czasem w nocy ci się wydaje, że po kurytarzach chodzą duchy w pantoflach; czasem także widmo w śmiertelnej pyjampie przystanie nagle i szybko ukrywa się we wnęce drzwi, bo duch „konkurencyjny“ idzie z naprzeciwka.

— Idjota! — myśli duch o duchu.

Tamten zaś stąpa cicho i wcale nie brzęczy łańcuchami, jak to podobno duchy mają we zwyczaju. Są to pewnie duchy zmarłych wielkich zbrodniarzów, których niebo skazało na czyściciowe męki i wieczną wędrówkę; chodzą tak nocą, póki nie zapieje kur, mając odpoczynek tylko na jeden moment; w tym momencie duch zapala zapałkę i odczytuje na drzwiach numery pokojów.

Czasem znów upiór spotka się niespodzianie z upiorzycą; jeśli duch był głupi za życia, zostaje głupim widocznie i po śmierci, bo wtedy również zapala zapałkę, a przerażona upiorzyca stęka:

— Ach, to pan! ... Właściwie to ja szukam moich saneczek, które mi się gdzieś zapodziały na kurytarzu....

Jeśli upiór jest mądry, nie mówi nic, tylko znika we mgłę; jeśli jest głupi, zapytuje: „Na co pani o trzeciej w nocy saneczki? — jeśli jest kretyń zawodowy, z dziada pradziada, — ofiaruje się, że jej pomoże szukać.

Zdawałoby się, że lichy wie, co się dzieje, a to zwyczajna rzecz; pokazuje się nazajutrz, że za czasów Ja-



nosika był w tem miejscu cmentarz, cóż więc dziwnego, że teraz łążą po nocy upiory; jednemu z paszczy bucha ogień czystej, drugiego czuć zagrobowo pippementem .

W tem wszystkim zdumiewa mnie głupi zwyczaj budowania pensjonatów i hotelów na dawnych cmentarzyskach, widziałem bowiem takie harce upiorów i w Zakopanem i w Krynicy, i na Lido i w Viareggio i licho wie, gdzie jeszcze.

Wreszcie można się przyzwyczać do wszystkiego i po pewnym czasie mało cię obchodzi, kto gdzie dziś w nocy straszyl i kogo? Niema w tem zupełnie metody i dosyć łatwo o pomyłki. Trzeba tylko znać sposób odstraszenia upiora: oto uderza się energicznie sportowym butem w sąsiednią ścianę na temat:

„Kędy wszedłeś, wychodź tędy, bo cię przeklnę w imię Boga!“

Co czasem skutkuje, czasem nie, jeśli upiory mają jeszcze cośkolwiek do wypicia.

Właściwie to można w Zakopanem zedrzyć porządne buty przez samo pukanie w ścianę i w podłogę; jeśli zaś pensjonat ma kilka pięter, należy z sobą przezornie zabierać na noc trzymetrowy kij, czasem bowiem straszy nad powałą.

Znam te opowieści z opowiadań ludzi, nie godnych jednakże zbytnej wiary. Sam widziałem mało, mieszkam bowiem zawyczaj w pensjonacie, który kilka razy do roku przezornie poświęcają, co podobno na niedługi

czas pomaga, ale znów nie tak bardzo. Musiałem zresztą trafić nieszczęśliwie już na okres wietrzenia siły, trzymającej w karbach rozigrane duchy, tak, że trzeba było przemijający jej wpływ zastąpić doraźnie wielkimi literami ogłoszenia:

„Po godzinie dziesiątej musi na wszystkich piętrach panować absolutny spokój!“

Gadaj tu z upiorami! Przemówił dziad do obrazu . . .

Wśród ciemnej nocy przeczytanie takiego nakazu jest dosyć trudne, więc się on mija z celem, przytem zaś prawdziwie polski duch z fantazją jest zwykle o tej porze zalany i mało sobie robi z dekretów.

Raz jednak . . . pamiętam . . . tak, to była chwila przykra.

Słyszę, jak w oddali zegar w jadalni wybił dwunastą. Na obiad była baranina, przy obiedzie zaś mówiono o rzeczach zaziemskich, więc sny miałem niespokojne.

Wtem, czoło moje zrosiło się potem.

W całym hotelu cisza, jakby wszystko skamieniało, ja zaś najwyraźniej słyszę cichutkie pukanie do moich drzwi . . .

Stuk...! stuk...! stuk...! stuk..!

Cztery razy. Najwyraźniej cztery razy.

— Kto tam? — krzyknąłem głosem duszonego ptaka, lub tonem człowieka, któremu w gardle stanęła ość z karasia.

Nic... cisza... a potem znów:

Stuk, stuk! .. stuk, stuk! .. — znów cztery razy.

— Upiór! — pomyślałem, a myśl o tem ścieła mi się w mózgu jak ostra igielka lodu.

Drżąc na całym ciele zacząłem beładnie odmawiać modlitwę, której mnie w dzieciństwie nauczył odmawiać jeden stary, stuletni pustelnik.

A tam znowu: stuk!.. stuk!.. stuk!... stuk!... — cztery razy.

Wtedy sobie przypomniałem i rzekłem w stronę drzwi, głosem, który się zataczał:

— Ego te exorciso spiritus immundel

Po łacinie pomogło: duch wypuścił z siebie żalostliwe, przejmujące westchnienie i poszedł straszyć gdzieindziej.

Nazajutrz jeszcze drżącego spotyka mnie sąsiadka. Patrzy na mnie, litościwie uśmiechnięta i powiada mi z tego, ni z owego:

— Przepraszam pana, po co pan właściwie przyjechał do Zakopanego?

— Po co przyjechałem?... Odpocząć! ...

— Ach, odpocząć! ... Z pana ładny ananas! ...

— Ananas?! ...

— Może trzeba przedtem pisać podanie?

— Podanie? do mnie? po co?

— Idjota! — odrzekły mi jej oczy, tak wyraziście, że co do znaczenia tego niebieskiego spojrzenia nie mogło być dwóch zdań.

Do dziś nie rozumiem, o co jej szło? U mnie wprawdzie nigdy już nie straszło, ale wszędzie straszło bardzo i to coraz bezczelniej i głośniej. Musiało się z czasem duchom nieco polepszyć, bo się nieraz w nocy nawet śmiały.

Wszystko to razem dowodzi tężyzny żywota i świętego działania zakopiańskiego powietrza, w którym w zimowej porze objawia się niesłychany procent alkoholu zamiast ozonu, o którym naiwnie opowiada chemja.

Jaki ozon, co za ozon? Każdy dziś w Zakopanem wie, co to jest Souverain, kilku tylko zwarzowanych doktorów, zacierzewionych eugenistów opowiada o ozonie; Zakopane znalazło wreszcie sposób radykalnego leczenia. W zamierzchłych czasach, przed dziesięciu coś laty, widziałeś na każdym stole jakiś kefir, jakieś mleko potrójne, czy poszóstne, wszystko to ciężkie, tłuste, niemile, spojrzij dziś... Na każdym stole cała propinacja. Wszystkie kolory tęczy. Elikiry żywota w butelkach cudnych kształtów. Jest nawet „szampan królów, król szampanów“, ze słynnych winnic na Zniesieniu, pod Lwowem, zasadzonych na podwórzu fabryki drożdży. Krótko mówiąc; pianometr Zakopanego wskazuje 108 stopni Baczewskiego.

Zimowe życie Zakopanego jest bardzo przy tem wszystkim uregulowane: „chorzy“ idą spać o piątej nad ranem, wstają o dwunastej rano. O godzinie w pół do pierwszej jest „five“ o'clock u Karpowicza, gdzie się pije porter i zjada dwa kwiczoły, wytwornie chude, ka-

ždy zaś z gracją wraził sobie lewą nogę w prawe oko; co jest pośmiertnym ich zwyczajem, dotąd przez naukę niewyjaśnionym; niesłychana ilość miłych tych ptaków w restauracji Karpowicza tłumaczy się tem, że przed nią jest stacja dorożek, odwiedzana przez gęstwę wygłodniałych wróbli; w dniach, w których wszystkie sanki dorożkarskie są na wycieczkach, kwiczołów u Karpowicza — rzecz prosta — nie podają.

O godzinie drugiej obiad, w każdym pensjonacie, bardzo ceremonjalny, gdyż między podaniem jednej i drugiej potrawy, upływa pół godziny, podczas której obmawia się nowego gościa i znowu pije porter. Podczas podawania czarnej kawy, „stoły“ oddają sobie wzajemne wizyty, więc stół Curacao odwiedza stół z Souverainem, wino czerwone idzie robić plotki do węgierskiego. Najgorszy jest stół tylko z wodą, gdyż ten odwiedza kogo może. Dwie godziny po obiedzie spędza się jako tako; o piątej jest five o'clock u Trzaski, gdzie jest centrala plotek zewszystkich pensjonatów; — przepuszczone tam przez separator, rozchodzą się one już jako gęsta, tłusta śmietanka z powrotem na całe Zakopane. To samo zresztą działo się i w lecie.

O dziewiątej kolacja, lekko zakropiona, potem część chorych idzie znów do Trzaski, gdzie sobie ludzie siedzą na głowach w cudownym górskim powietrzu, które odrazu można podawać, krajane w kostki, jak jakąś straszliwą, przydymioną leguminę, część zostaje w pen-

sjonatach, skupione nad zagadnieniem: „czegoby się dziś napić?“

Dla podtrzymania towarzyskiego życia któraś białogłowa wyciąga z gardła za włosy śliczną piosenkę, co przypomina proceder tych dobrych kobiet z procesu, które dusiły dzieciątka, potem towarzystwo zaczyna płaść, przeszkadzając tak uczciwemu zajęciu, jak graniu w bridge'a przez ludzi skupionych i śmiertelnie poważnych.

Wszystko to zaś jest pozór i udanie; bo jak nurek co wpadłszy na dno morza, wypatruje, w której skorupie mieszka perła i tę szybko odrywa, tak już ktoś buszuje w tłoku i szeptem jakieś tajemnicze hasło. To „duchy“ zwołują się na Łysą Górę na „resztę wieczoru; — to „wtajemniczeni“ — towarzysze Jehudy“, — „bracia czarnej ręki“, — „połykacze szkła“.

Słysząc tylko hasła szybkie i tajemnicze:

— ...U mnie pod dziesiątym...

— ...Nie ma na czem..

— ...zdejmie się materace i położy na podłodze...

— ...u pani pod siedmnastym...

— ...lepiej nie, bo za ścianą mieszka ta plotkara.....

— ...tylko tej małpy nie proście, bo nudna...

—... i tamtej nie, bo zaraz zasypia.

Tak to oni sobie mówią i wiedzą, co mówią.

Wszystkiemu winny bakcyle.

Zakopane postarało się o to, by miłym półmrokiem otoczyć wszelki sabbat; jako pierwszorzędna miejsco-

wość lecznicza posiada światło elektryczne, które ma narowy zwyczajnego suchotnika; pod wieczór zawsze dostaje gorączki i żarzy się wspaniale, tak, że dość rzadko spotkanego na ulicy znajomego wyniosłej postawy bierzesz się przez pomyłkę za słup telegraficzny. „Potoki światła“, które o zmroku zalewają Zakopane, należy rozumieć oddzielnie, jest to raczej głupie światło nad zalewającym potokiem. Czasem znów to światło postanowiło się rozbawić i urządza zwarzjowane kawały, gąśnie co trzy minuty, mrugając z wielkiej uciechy; tak potrafi bawić się godzinę. Są to jednak nagłe uderzenia krwi na mózg dynamomaszyny, metodycznie zaś, zawsze około dwunastej przygasa i świeci jak gromnica, która się wysłużyła dwudziestu nieboszczykom. Ach! jakie to śliczne! Miły półmrok, zawiesiste cienie, uwodzące kształty. Niedawno ktoś wpadł do potoku, całe to szczęście, że nie literat tylko wydawca.

O tym czasie zaczyna Zakopane żyć naprawdę; „chorzy“ zdrowieją, głusi słyszą, ślepi widzą i trafiają do cudzych pokojów.

W tem miejscu rzekłby Mercurio w „Romeo i Julji“ (scena I, akt I.):

„...Możesz w cel trafić miłość, będąc ślepą?  
Niechże więc sobie po ciemności maca,  
jak długo zechce...“

Dlaczegoby w Weronie miało być inaczej, niż w Zakopanem? Tutaj bardziej, że się zbliża wiosna, która w górach przedziwne czyni przygotowania, bardzo

długie i mozolne. Widziałem pierwsze jej usiłowania; oto na ulicach, pokrytych metrowej grubości lodem stał wszystek śnieg i zostało tylko jedno, półmetrowa warstwa końskiego nawozu, którą codziennie miesza kilka tysięcy nóg i preparuje z tego „hygieniczną pastę zakopiańską“. Władza klimatyczna czuwa jednak nad tem, by stolica tatrzańska miała wygląd stolicy, więc kolo południa zjawia się na ulicy pracowity człowiek, który patykami kopie w lodzie rowek; ponieważ człowiek ten ma jako góral fantazję i skłonność do zdobnictwa, więc kopie ten rowek w esy floresy, w formę meandra, który w dalszym ciągu woda sobie żłobi, wartkim płynącym strumieniem. Nie wybijesz sobie zębów na tym zakręcie, to je sobie wybijesz nieco dalej, gdzie zakręt jest z większą zrobiony fantazją.

Na Krupówkach jest minjatura Tatr, wzgórze, doliny, kopce, przepaści, grzebień, regle; można też spotkać pogotowie ratunkowe, które obłożyło kilkoma płonącymi smolakami studnię i wydobywa ją z lodowych kleszczów. Wszystko to czynią roztropnie i mądrze, aby te Czechy i Węgry, co przyjechały na zawody narciarskie mogły się nauczyć rzeczy trudnych i mało gdzieindziej znanych, bo tam u nich doszło podobno do takich absurdów, że ludzie sami zamiatają z ulic końskie odpadki, nie czekając, aż je zgarnie własnymi rękoma wiosna.

Widziałem jednak za to sceny śliczne, do łez wzruszające. Patrzmy: idzie słynna śpiewaczka, uśmiecha



się do słońca, a słońce do niej. Nie możemy jednak pojąć, dlaczego słynna śpiewaczka ciągnie za sobą z jakimś trudem linewkę, której koniec tkwi w błocie, lecz u tego końca niczego niema. Wielkie śpiewaczki mają dziwne pomysły: może ta przypomniała sobie arję z „Poławiaczów pereł“? — może w ten sposób łowi pstrągi.

— Boska Ewo! przepraszam, ale co pani robi?

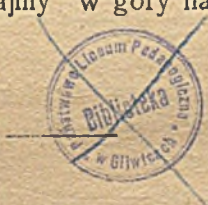
Ona spojrzała, poza siebie, krzyknęła:

— ... O, dniu nieszczęsny, o świecie czarny! —  
potem zemdlą.

U końca linewki był śliczny, pulchny, biały, puszysty piesek, który utonął w błocie.

Ha! ta kobieta ciągnęła za sobą trupa!

Uciekajmy! uciekajmy w góry na narciarskie zawody!



## II.

Bruno Wrzecian, jako sprawozdawca sportowy. — Dwie „sprawozdawczynie”. — Polska i czeska metoda. — Na złamanie karku — Uroczysty bankiet zakopiański.

Zauważyłem, jadąc do Zakopanego, że mój towarzysz z przedziału sleepingu, pilnie mi się przypatruje; był to wytworny młody człowiek z bystremi oczyma, kiedy już jednak miałem tych obserwacyj za wiele, rzekłem mu grzecznie:

— Co się panu tak we mnie podoba?

Gentelman się uśmiechnął i wyrecytował jednym tchem:

— Nazywa się pan tak i tak, pisze pan książki, jedzie pan z Warszawy do Zakopanego i będzie pan na zawodach narciarskich . . .

— Boże drogi! — zwołałem zdumiony — skąd pan to wszystko wie?

Na to on skronmie:

— Jestem Bruno Wrzecian!

— Bruno Wrzecian! — krzyknąłem zdumiony i szczęśliwy.

Należy, aby wszyscy wiedzieli, co oznacza to nazwisko; otóż tak się nazywa największy polski genjusz

śledczy, który pojawił się niedawno i którego sławę głośno cały cykl wspaniale sensacyjnych powieści; jedną z nich czytałem niedawno i byłem zdumiony genialnym sprytem ~~po~~ takiego Holmesa, który odkrył zbrodniarza w trzy miesiące ~~po~~ zbrodni, choć chytry zbrodniarz dla zatarcia śladów zaczął nosić monokl i golił się raz na tydzień! Jest to osobistość autentyczna, ten Bruno Wrzecian, którego bystrość tak mnie w tej chwili bardzo zdumiała.

Ale on to skromnie wyjaśnił:

— To, widzi pan, tylko dobra metoda i nieco wprawy. Znam pańskie nazwisko, więcej, nawet adres pański, bo je przeczytałem na karcie wizytowej, przyczepione do pańskiej walizy.

— Ha! — zawołałem, oszołomiony prostotą pomysłu.

— Trudniej było z odgadnięciem pańskiego zawodu, metodą dedukcji jednak wywnioskowałem, że plama z atiamentu na palcu środkowym ręki prawej, nieco zastarzała, dowodzi pisania nie przypadkowego, lecz uporczywego, zaryzykowałem więc oznaczenie zawodu: „literatura“, poza tem wiedziałem, że jest pan pisarzem.

— To poco pan wnioskował?

— Bo to jest metoda śledcza. Wiedzieć, to nie sztuka, sztuką jest wnioskiwanie. Z tego szczegółu, że oddał pan konduktorowi bilet do Zakopanego, do wiedziałem się już dosyć łatwo, że nie jedzie pan do We-

rony, że zaś jutro odbędą się w Zakopanem zawody narciarskie, znowu zaryzykowałem twierdzenie, że pan jedzie na zawody.

— Nadzwyczajne! — szepnąłem.

Wielki Bruno Wrzecian uśmiechnął się.

— Robiło się rzeczy trudniejsze. Ale i ja jadę na zawody.

Przypomniała mi się nadzwyczajna historia z Conan Doyle'a, w której to przed wielkim meczem piłkarskim zniknął nadzwyczajny bramkarz z zespołu Oxfordu i Sherlock Holmes go odszukał. Czyżby zniknął najlepszy polski narciarz? Zapytany o to Bruno Wrzecian zrobił wielkie oczy.

— Nie, panie, ja jadę jako sprawozdawca sportowy...

Zdumiałem się, ale nie bardzo, pomyślawszy, jak ciężka jest polska inteligencja, zupełnie zaś przestałem się dziwić, z wielkim nawet szacunkiem myślałem o sportowem znanstwie śledczego geniusza, ujrawszy na zawodach przy mecie „sprawozdawców sportowych“, doskonałych specjalistów; było tego sztuk kilkadziesiąt, ludzi otrząskanych ze sportem na wszystkich stadionach europejskich; byli wśród nich ludzie najrozmaitszych zawodów, ponad wszystkimi jednak górowały doskonałym znanstwem sportu dwie panie, „wysłanniczki specjalne na zawody narciarskie“. Bruno Wrzecian objaśniał mnie uprzejmie:

— Ta mała robi w jednym z pism „Stroje i mody“

i „Kącik humorystyczny“, ta druga przyjemna i czarna, pisze o teatrze; tamta panna, ale jeździła na saneczkach — więc się trochę zna, ta ma troje dzieci i już raz była w Zakopanem, ale w lecie.

Wzruszyłem się troską polskiego dziennikarstwa o polski sport; jest to w istocie rozczulające i nawet ładne; źli nasi sąsiedzi z za gór, poprzysyłali jakichś dryblasów z mapami, chronometrami, lornetami, ludzi bez serca; narciarz się wywraca, krew mu leci sikawką z nosa, a taki nawet nie spojrzy, tylko notuje, a polska „sprawozdawczyni“ ma łzy w oczach i powiada:

— Taki miły chłopak, żebym go ucałowała...

Sambym to zresztą uczynił, gdybym był „sprawozdawczynią“; można było zresztą w entuzjazmie przekroczyć wszystkie granice.

Cały świat biały i wyiskrzony, słońce jakieś rozochoczone, powietrze, jak wino; z drewnianych bud powyłaziło tysiące ludzi, z murowanych gentelmani na „sportowo“, w butach srodze okutych, ladies również na sportowo, co druga w spodenkach, bardzo szykownych, bo taka teraz moda w Zakopanem i tylko niewiasty krzywonogie, laskonogie, iksonogie lub w kaślak, niewiasty kobiecość swoją noszące w sztandarze spódnicy, ostentacyjnie cnotliwe, obłudnie cnotliwe, przywiązane do tradycji, poza tem literatki i śpiewaczki, wreszcie kelnerki od Karpowicza — używają jeszcze stroju, swej niewątpliwej płci odpowiedniego. Reszta chodzi w spódnicach, zawsze jednak tylko we dnie,

wieczorem bowiem z wielu względów jest to nieprzyjęte.

Wszystko to wyległo na śnieg, aby patrzeć na narciarskie igraszki; dobry ton nakazuje, aby na zawodach narciarskich samemu być również na nartach bez obowiązku jeżdżenia na nich.

Widziałem, jak doskonały malarz i wesoły malarz, Kamil Mackiewicz, nieprzyzwoity ilustrator przyzwoitych moich książek, przyszedł na zawody z nartami na plecach, potem je z trzaskiem zdjął. Była jedenasta rano. Potem chyłkiem patrzył, jak się taki instrument przypina do pedałów, podglądał, jak to robią inni, przypiął je sobie i jak stanął na nich o jedenastej rano, tak stał bez ruchu do godziny czwartej popołudniu. O czwartej je odjął, wziął je na plecy i poszedł. To był gest! Firma Herse na nartach, firma Gebethner na nartach, firma Wende na nartach; oni na nartach w Zakopanem z góry, ceny bez nart w Warszawie do góry, wszystko ma swoją przyczynę; strach wobec tego było patrzeć, jak firma Herse pędzi błyskawicznie po jedwabnych płatach śniegu; Boże, co to będzie kosztowało Warszawę!

Prawdziwi, zawodowi narciarze już gdzieś tam daleko gonią przez zaśnieżone wertepy; wreszcie szmer, wołanie, gwizdki, niepokój, gwar, okrzyki, ciżba i ze stoku góry pędzi człowiek, jak szaleniec, za nim drugi, trzeci, czwarty, dziesiąty, siedemdziesiąty, dziewięćdziesiąty; ten goni ośmiatkiem sił, ten z krwawą pręgą przez czoło, tamten zlany potem zsuwa się z góry już tylko si-

łą bezwładności; padł, nie może wstać, ślania się, gdy go podnieśli.

Nagle wrzask i radosny krzyk; leci djabeł. W miejscu ostatecznego wysiłku, gdzie po męczarni drogi czter-nastokilometrowej, trzeba jeszcze poraz ostatni do-  
być tchu, by się nie zwalić w oczach tysięcy ludzi, na zwarjowanym skoku, na którym padał, co drugi, w mo-  
mencie, kiedy dusza narciarza nagle wpadała mu w pię-  
ty — jakiś pędzący jak błyskawica, szaleniiec, krzyknął, właściwie roześmiał się radosnym krzykiem i poczyną wywijać kijkiem. Zjechał jak burza, ani się pochylił, przebiegł jak wiatr, aż furczało, roześmiany, pyszny, śli-  
czny — warjał. Polak, naturalnie, że Polak, góral Krze-  
płowski, — przecież nie Czech, bo Czech nigdy nie uda-  
je orła, tam, gdzie można skręcić kark.

Ale Czech wziął nagrodę, rzecz prosta. Bo to było tak: Polacy jechali jak djabyły, skakali przez skały, przez wykroty, przez zasy, przez pnie, tam, gdzie można połamać ręce i nogi, ciskali się jak piłka, lecieli, jak pta-  
cy. A Czech szedł sobie w tych miejscach spokojnie, rozważnie, w słusznem mniemaniu, że mu drugiej gło-  
wy nikt nie kupi. Po chwili jednak trzeba było iść dwa kilometry pod górę. W Polsce strasznie nie lubią cho-  
dzić pod górę. Jest to zajęcie głupie dla Polaka; więc się ten i ów podrapał w głowę, zapalił papierosa, skrzywił się i laźł ostatnim tchem. Wtedy zaś wytrenowany Czech zaczynał iść jak parowa maszyna, cierpliwy, u-  
party, z długim oddechem, na świetnych nartach; papie-

rosów nie palił, w głowę się nie drapał, psiakrew nie krzyczał, wódki nie pił i — przyszedł pierwszy. Tego i owego pasja wzięła:

— Jakto? nasz zjechał jak burza i wywijał kijkiem? A Czech się wykopyrtnął...

— Właśnie, właśnie; to tak zawsze. Oni po czesku, my po polsku.

Więc się wściekły polskie narciarze. Powiedziały sobie: „umiecie chodzić pod górę, chodźcież teraz skakać z góry, zobaczymy, kto lepszy?“

Zbladły Czechy i zdumiały się.

Znowu tysiące ludzi patrzy, jak ludzie zamieniają się w ptaki. Ach, to było wspaniałe!

Wydaje ci się, że góra chwyciła człowieka w łapy i ciska go ponad ludzkie głowy, jak kamień. Zabije go, czy go nie zabije? Ale polskie góry miłują swoich. Słychać sygnał... kto skacze? — Węgier! — Skoczył i leży. Jak wielki owad, co padł na grzbiet, wije się i wywija długimi odnóżami nart.

Znów sygnał; kto skacze? — Czech.

— Leży, leży!...

Nagle cisza, zdaje się że słyszysz, jak śnieg cichutko taje.

— Kto skacze?

— Polak!...

— Boże mu pomóż...:

— Och, byle ładnie skoczył!...



Dziesięć tysięcy serc bije mocniej. Leci, coś zamajaczyło wysoko w górze, tuż przy szczytach jodeł...

Aaaa!.... Skoczył!....

Jak armatnia kula zatoczył łuk; leci, lekko ugiąwszy kolana, śmigły, pyszny i śliczny; klasnął łapami nart w śnieg, aż jęknęło i świetnym łukiem objechał kolisko, ani nie drgnąwszy. Tak skoczył drugi, trzeci, czwarty. Patrzyły zdumione Węgry, kiwały Czechy głowami. Bo któż piękniej skoczy na złamanie karku, niż Polak?

Zresztą, gdyby onegdaj, przy wspinaniu się na stoki, wszędzie stała publiczność, byłby polski narciarz i tam zwyciężył; nikt jednak nie patrzył i nikt nie klaskał, więc po co się miał natężyć? Tu co innego: można kark skrócić, ale wśród owacyj. Zresztą go rozdrażniono; Polak pobity zaczyna być bardzo zły, więc trzeciego dnia zawodów, kiedy już było zapóźno, Polacy nabili wszystkie obce nacje, byliby zresztą nabili wszystkich djabłów, tak jechali. Nietylko mężowie, ale i biało-głowy: jak furja, jak wiatr, jak lawina przybyła do mety ogorzała, świetna polska narciarka; zdumieli się znów Węgrzynowie, zacni i mili, kiwały głowami pracowite Czechy, poznavszy, że straszna jest jakaś siła w tym polskim narodzie, tak pysznym, że się nawet czasem da zwyciężyć, ale nie daj Boże, żeby mu zbyt włązić na narty.....

Mimo pięknej porażki, dumni byli z siebie polscy narciarze; i słusznie. Trudno było o coś piękniejszego i bardziej wyltworowego, niż ich jazda po brylantowym

śniegu, gdyby tak ludzie jeszcze pojęli, że to wszystko nie zabawka, lecz ciężka praca, którą się na wagę złotych wieńców i na złoto szacunku sprzedaje na całym świecie, gdyby te rozhukane młode orłęta, ze śmiechem zjeżdżające na złamanie karku, wysłać na naukę, albo im sprowadzić nauczycieli, gdyby tak rząd... Szkoła, że rząd sam wywraca koziółki...

Dni zakopiańskich zawodów były piękne: patrzyły na siebie miłe nasze sąsiady nieco z podębą, wszystko jednak było urządzone tak składnie, że wszyscy się do siebie uśmiechali. Ciężką pracę urzędzenia tych zawodów spełniono wybornie, pod koniec więc, szczególnie na bankiecie, zdawało się wszystkim, że się od wieków kochają. Taka to już była miła, polska atmosfera. Sam próbowałem mówić po węgiersku. Wreszcie się zdawało wszystkim (około szóstej rano), że się zaczęły nowe zawody narciarskie; ten usiłował piąć się w górę, inny wyraźnie skakał ze skoczni, wszyscy zaś lecieli w przepaść. Firma Herse objęła firmę Gebethner, płakał z rozczulenia miły Węgier, jeden Czech miał mowę po francusku; to zresztą było najweselsze. Jak wszyscy uczestnicy zawodów mogli po tym bankiecie trafić do swojej ojczyzny, Bóg to raczy wiedzieć.

O zacnem tem pijaństwie pisała jedna „sprawozdawczyni“:

„...Wieczorem zajaśniały światła, podano skromne zakąski i miła zabawa towarzyska przeciągnęła się do

późna. Wzruszeni goście żegnali Polskę smutnem: do widzenia!... (Goście nie mogli ruszyć ręką ani nogą):

A druga, ta od sprawozdań teatralnych:

! „...Zebrana elita Zakopanego na zebraniu w salo-  
nach Trzaski, omawiała z ożywieniem wyniki zawodów,  
które zespolą serca trzech sąsiadów, to też wszystkie  
mowy nacechowane były wielką serdecznością. Skoczne  
płasy górali czarowały zdumionych cudzoziemców, o-  
gólne zaś: „kochajmy się!“ zakończyło trzy dni sporto-  
wego święta... Odjeżdżających gości żegnano grom-  
kiem: „do widzenia!“ ...

(Gospodarzów pocziwi ludzie odnosili do domów,  
a gości do pociągu).

---



## LISTY Z SOPOTU.

---

### I.

Niesłychane moje zasługi. — Co spostrzegła Maniusza? — Nieszczęsne ryby, nieszczęśliwsze mewy. — Traktat o jednym mądrym bałwanie. — Żydowskie „koło panien” i Gućło odważny. — Ohydny postępek człowieka w ciasnym kostjumie. — Kąpiel Jakóbka. — Co ma być czekoladowe? — Patryarchy w mykwie. — Prezes teatrów warszawskich w nowej roli. — Magdalena Samozwaniec i ja.

Pojąć nie mogę, jak zakopiańskie żydy spenetrowały, że w lecie 1922 roku wcale nie pojedą do Zakopanego, tylko do Sopotu, ale się jakoś zwiedziały i wszystkie pojechały za mną. To też mi się czasem śni, że gram na góralskiej kobzie i zaczarowanych żydów wyprowadzam jako Judenfaenger z Zakopanego na brzeg morza; żydowie jednak jest to naród mocno przemyślny i w tej wędrówce dochodzą tylko do brzegu; znają historję tego niemądrego Faraona, co włożył za żydami w wodę. Ale i to pewna pociecha, że w tym roku w Zakopanem na widok żyda rozczuleni ludzie rzucali mu się na szyję, taki to tam teraz rarytas.

A kto ich wyprowadził przez Jordan Dunajca?  
Kto szedł przed nimi jako krzak gorejący?

Ja!

Wielka moja skromność dostała jednak manji wielkości; mam wrażenie, że żydzi bezemnie żyć nie mogą, taką mam miłość w tem pokoleniu; uśmiechaliśmy się więc tego roku do siebie na sopockiej plaży i nie raz jeden słyszałem uwagi na mój temat z prawdziwą wypowiedzianą radością:

— Maniusza! Maniusza! popatrz prędko, co ty spostrzegasz?

— Gdzie mam spostrzegać?

— Tam, tam, te białe spodnie!

— Aach, i on także tutaj. Oj, oj, matuchna!

— Co ci tak wzruszyło, Maniusza?

— Popatrzaj matuchna, kto ten drugi?

— Nu, kto taki?

— Boy!

— Co ty nie powiesz? Boy! wołaj prędko Salusie, niech zobaczy. Popatrz, jak on chodzi. Och, jaki on przyjemny... Całkiem Balzac...

Rzecz więc oczywista, że muszę zdać sprawozdanie z pobytu w Sopocie, co jednakże czynię najzupełniej, bezprawnie, „chazukę“ bowiem, czyli talmudyczny przywilej wyłącznej eksploatacji, ma na Sopot Nowaczyński, tak, jak Perzyńskiemu z podziału przypadł Ciechocinek, Grzymale Siedleckiemu Krynica, a mnie Zakopane.

Sądzę jednak, że mi Nowaczyński uczynnie odstąpi kilku żydów na te listy, za co ja mu oddam cztery razy tylu Żydów z Zakopanego; zresztą tegoroczni żydzi z

Sopotu pochodzą z mojego terenu i mam do nich słuszne i zadawnione prawa, wyłączając niewielką grupę warszawską, cywilizowaną i pięknie po polsku mówiącą, którzy nikogo nie kompromitują i do których list ten się nie odnosi.

List z Sopotu powinien być właściwie napisany po żydowsku, jeśli ma być interesujący, stylem soczystym, obrazowym, powinien być wypowiedziany rękami, z wielkim, rozradowanym wrzaskiem: Sopot bowiem tegoroczny to jedna wielka mykwa, mykwa zaś jest to wielka kąpielowa, która ma tę właściwość, że żydowskiej kąpeli jest w niej zawsze więcej cieczy, niż jej było przed kąpielą. Zatoka sopocka tak mniej więcej wygląda.

Żydowskie kąpiele w Sopocie mają jednak i dobrą swoją stronę, wszystka bowiem ryba, oszalała z przestachu, śmiertelnie załękła, odurzona zapachem, obłąkana z rozpacz, zadarłszy ogony, uciekła na polskie morze, gdzie ją można z wody wyjmować rękami, jak oczadziałą. Serce się tylko kraje na widok mew. Mewa, jest to ptak piękny, lecz głupi; chce sobie czasem urządzić zabawę i leci nad obszar kąpielowy, aby przestraszyć pluskające się żydzięta; krąży więc nad basenem, krąży, potem się nagle zaczyna ślaniać w powietrzu, trzepoce skrzydłami i pada w morze, taka nad żydowskim basenem jest lubość aury.

W Morzu Czerwonym, kiedy przerażone bałwany stanęły dęba i jeżyły się z przestachu, aby się nie zetknąć

z ludem wybranym, co słusznie zostało ogłoszone jako cud, gdyż raz i balwan okazał się przeraźliwie mądrym, — nie było większej judejskiej gromady, jak w morzu sopockiem.

To dziwne doprawdy.

Czasem szczury, kierowane jakimś tajemnym nkazem, wędrują niezliczoną gromadą, tak samo w tym roku przywędrowali nad morze żydowie. Przybyli wszyscy; starzy i młodzi, biedni i bogaci, we frakach i w chałatach, na goło jednak wyglądają oni tak samo i niezliczona ta gromada moczy się w morskiej soli. Morze zgorzkniało, stało się posępne, niechętnie, gęste. Fale patrzą z podełba ku brzegowi i nie chcą płynąć; wiatr to pędzi, krzyczy, nawołuje, gwizdże, a woda w płacz; żyd nastawia brzuch, fala w nogi.

Żydowska kąpiel jest to cały ceremonjał. Prawie pierwszy idzie do kąpieli „Gucio odważny“. Reszta stoi na deskach i patrzy z miłym, niedowierzającym podziwem.

„Gucio odważny“ najpierw się podrapał lewą nogą w prawą nogę, potem się uśmiechnął tym przemilnym uśmiechem nieboszczyka, któremu już jest wszystko jedno, poczem palcami prawej nogi próbuje wody z lekka i ostróżnie.

— Uj! rozkosznie! — wykrzyka i cofa nogę, jakby rak za nią chwycił.

Pan Stanisław z firmy Tejteles i Syn, był jednak jeszcze odważniejszy, jest już w morzu i dlatego jest nad-



zwyczajnie rozradowany, pyszny, szczęśliwy i dowcipny — wobec czego z nagłą obryzguje wodą Gucia odważnego. Taki ordynarny cham, taka świnia, która umyślnie robi Guciovi głupie kawały, bo wie, że ten mu nic nie zrobi. Gucio zamknął tylko z wściekłości oczy i posiniał, bo na ten żart patrzy panna Klarcia i panna Mucha i panna Dąbrówka i Zochna i Salcia Różanykwiat, i Zuzia Dziewczepolskie i panna Marysienka Katz i panna Łaja Zamojska i panna Halina Cokolwiek i panna Dziudzia Cynaderek i panna Cipcia Ogórek i panna Mira Kawalek i panna Frajda Natychmiast i panna Dora Lament i panna Halszka Futerał i panna Genia Kasztelan i panna Cesia Pistolet.

A panna Dąbrówka Handfus powiada:

— Panie Gucio! Wleż pan, ja panu mówię! ...

Joasia Jungfermilch woła:

— Jak matuchnę kocham, uśmiełam się jak suseł!

Kiedy wszystkie żydy są już w wodzie, wtedy dopiero radość bije pod niebiosy; każdy, pływając, tłucze nogami o wodę, pycha, krzyczy z radosnego strachu i płynie na oślep w napadzie zwarjowanej odwagi.

Najwięcej szaleje panna Dąbrówka; zauważył to „Gucio odważny“ i uszczypnął ją tam, gdzie się najłatwiej szczypie. — Panna Dąbrówka uciekła jak syrena i woła:

— Marychna, ty uważaj, tu gdzieś jest homar!

A jedna mama, co się nie kąpie, tylko chodzi jak kwoka po brzegu mówi do drugiej mamy:

— Wi pani, te kąpiele to tak być nie po...

— Czemu nie powinno? To bardzo przyjemnie.

— Pani tak mówi, bo pani córka jest na medecyne, a moja nie jest.

— Co to ma do kąpielei?

— To ma, że pani córka wszystko widziała, jak jej pokazywali nieboszczyka, a moja Cesia jest jak anioł, co jeszcze nic nie widziała.

— To co ona tu spostrzega?

— Pani nie ma oczy, czy co? Niech się pani spoglądnie, jak ten bezwstydnik ma za ciasnego kostjumu.

— Gdzie? gdzie?

— Ja widzę, że pani także chce coś spostrześć.

— Czemu nie?

— Jemu wszystko widać jak żywe. Fuj, czy to ładnie?

— Jednemu może się spodobać, drugiemu nie. A co on ma robić? Tego w domu nie może zostawić. Co się pani czepi biednego chłopca?

— To czemu on nie wliże do wody? Spoglądaj pani, jak ta Dąbrówka wlepiła oczy.. Pani myśli, że on nie czuje, taki drab? Cesia! Czemu ty nie pływaj na fale! Tu nie ma nic do spostrzegania... Pływaj zaraz na fale, bo powiem papusiu... Widzi pani, ten łobuz jeszcze stoi. Czy to jest wystawa? To musi być oficer, bo wszystko nosi na parade. Chodź pani do innego miejsca.

— Idź pani sama, stąd jest pięknego bardzo widoku....

Pani Matylda Grynszpan czuwa obok nad swoją pociechą, która się pluska, jak sardynka.

— Popatrz pani, jak mój Jakóbek pływa... Tylko pani popatrz... Jakóbek, ostróżnie, ty tam nie chodź... Mamusia tobie mówi nie chodź!... Tylko pani popatrz, jaki odważny, nic nie słucha... Ty mój lechonek, ty... Jakóbek, słyszałeś, co ci mówi matuchna? Jakóbek, synaczku, jak się utopisz, to matuchna zwarjuje... Popatrz pani jak on jest zbudowany, powiedz pani sama... Kasia, przygotuj prześcieradło, bo panicz będzie zaraz wychodził z wody... Popatrz pani, jak ten tłumok się nie rusza, taka dziwka... Nu?.. Jakóbek, synaczku, jeszcze trochę brzuszka sobie zamocz i chodź do mamusi...

Potem się czyni wielki tłok, szczególnie w miejscach, gdzie woda sięga prawie do brzucha; tu się kąpią stare patryarchy, rozumiejące niebezpieczeństwo srogiej wody i patrzące niechętnie na to oszalałe, młode pokolenie swoje, co igra z żywiołem straszliwym tam, gdzie woda sięga do łopatek.

— Z wode nie można ryzykować!

— Izak Abramowicz może, on pływa nawet na łopatkach.

— Co to jest pływa na łopatkach? W wannie też się można utopić!

— To po co włożyć w wannę? Ale ja panu powiem: pan się trochę posuń na bok, ja też chcę się kąpać. Tu jest ścisk jak na giełdzie.

Potem zirytowane morze rzyga tem mrowiem na

brzeg i wtedy na piasku leży sto tysięcy ton kosztownego mięsa; leżą cielska opasłe, jak morskich krów, cielska obrosłe, otluszczone, brzuchate, napęczniałe, wykoszlawione, białe, blade, czarne, czerwone, piegowate, zielonkawe, szare, czekoladowe.

Jedna żydówka wielka dama odrzuciła lewą pierś daleko w lewą stronę, prawą daleko w drugą, tak, że trzeba przez nią przestąpić i ogrzewa w słońcu przełęcz środka.

— Rózia — woła druga, — ty się opalaj!

— Przecie się opalam.

— A na brzuchu czemu nie masz czekoladowe?

— Po co tam? Nikt nie zobaczy...

— Ja ci mówię, ty się wszędzie opalaj. Za swoje pieniądze to ci wolno.

— A Marysia całkiem się nie opala.

— Co tobie obchodzi Marysia? Ona już ma narzeczonego, jak się opaliła w Zakopanem.

— Czy mężczyzna lubi czekoladowe?

— Co za gadanie! Natychmiast nie powiedz tego słowa! Zaraz się opalaj!

Trzeba przyznać, że opalona Rózia, „z jerychońskiego ogrodu, róża między obce ludy przesadzona i kwitnąca“ warta jest spojrzenia. Bruno Winawer mi tłumaczył, że zachwyty są zupełnie uzasadnione; trzeba uwierzyć znakomitemu specjalście.

Można sobie łagodnie i niewinnie pokpiwać z na-

szych własnych żydów; w Sopocie jednak większość stanowią żydy rosyjskie.

Boże miłosierny, co to za tałałajstwo!

W serdecznej przyjaźni z głupimi Niemcami, bo mądrzy odwracają się od nich z lekceważeniem, zawładnęli Sopotem w zupełności, morze błędnie na ich widok — ludzie dostają mdłości. W każdej niemal kawiarni jest rosyjsko-żydowski kabaret, oni szwargocą żargonem polsko-rosyjskim w kasynie, oni kompromitują nasz język. Z pasją udają Polaków, po łajdacku i irytująco; ta sowiecka awangarda, bogata, rozrzucająca pieniądze, natarczywa, arogancka, bezczelna, śpiewa w Sopocie, gra i tańczy. Sopot stał się podejrzanem gniazdem tysięcy takich ciemnych figur, któremi by można wypełnić wszystkie kryminały świata. Tych oddałem w opiekę Nowaczyńskiemu, uśmiechnąwszy się do „moich“ żydów. „Moi“ także są nie najgorsi, ale przecieżbym się lekkomyślnie nie pomieniał.

Chciałbym w tym liście napisać coś również niekoszernego, ale się nie da; trzebaby wyjechać w tym celu na pełne morze, w Sopotcie jest to niemożliwe. Trzeba chodzić długo w ludzkim tłumie, zanim się spotka człowieka jako tako ochrzczonego; przedewszystkiem spotyka się bractwo aktorskie; aktorów jest tu niemal tylu, co żydków.

Ha! Jednego wieczora mały polski stateczek, jadący do Orłowa, przybył do dzikiego brzegu, kierując się jakimś wysoko płonącym ogniem, przekonany więc był,

że to latarnia morska. Kapitan ujrzał przerażony pomyłkę: to dyr. Lorentowicz palił na brzegu cygaro, wyniosły i potężny, jak latarnia. O! Wielki Tryton przyjechał ze swojemi syrenami, którym w Warszawie Zmigryder sprytnie pokrywa ogony.

Na samym końcu dygi stoi człowiek, którego obryzguje fala...

„Gdzie morski wał o brzegi fale miota, tam stoi Dygas...”

Zadumany głęboko nad tem, dlaczego woda morska jest słona, „przepowiada” sobie partję w sopockim stylu, wedle wspaniałej trawestacji warszawskiej:

„Mój ojciec Parszywał, kupiec z Pomorza, jam prokurzysta jego, Leon Grün“. Od czasu, kiedy śpiewał w „Hagith“ żydowskiego króla, jeździ do Sopotu, byle tylko w tym judajskim oblędzie nie dojechał do bolesnej ostateczności.

To są spotkania przyjemne; można było mieć jednak nawet najprzyjemniejsze; oto można było ujrzeć żywą, głośną dziś w Polsce osobę, bo jedną z najdowcipniejszych, mityczną, tajemniczą, straszliwą zmoreę Mniszkówny: Magdalенę Samozwaniec, autorkę zwarzowanej powieści „Na ustach grzechu“, tej cudownej powieści, która może kres położy trędowatym szaleństwom.

Mało ludzi wie, kim jest Magdalena Samozwaniec. Można powiedzieć tylko tyle, że najmiłsza ta osoba, ten potwornie złośliwy łobuz w spódnicy, jest niewiastą obłąkanie miłą, ostrzącą sobie co rana język na rzemieniu,

roześmianą niewiastą, która sypie dowcipy, jak kiedyś Zosia zboże kurkom. Ponieważ nie wolno zdradzać jej nazwiska, więc żeby się nikt nie domyślił, można tylko powiedzieć tyle, że jest to córka wielkiego malarza, który maluje konie, a jej dziadek był genialnym malarzem który także malował konie. Córka zmalowała Mniszkównę.

Powiedzieliśmy sobie o żydach trzy dowcipy, ona dwa, ja jeden, poczem Magdalena Samozwaniec poszła zawisnąć „na ustach grzechu“, a ja pojechałem na Hel, aby się nadyszeć ojczyzny.

„Czy znasz ten kraj, gdzie żyd nie dojrzewa?“

— I nigdy nie dojrzeje, bo gdy go pies napadnie na jednym brzegu, dokąd ucieknie? W morze z drugiej strony? Mądrze to Pan Bóg urządził ten Hel, gdzie na razie mieszkać można modą praojców, na sosnowej gałęzi, ale będzie kiedyś można, splunąwszy przedtem z obrzydzeniem na tę żabę, co udaje Niceę, na to Jerycho, na te Nalewki, na Sopot, którego się wyrzekam na wieki wieków, wszystkich żydów zostawiwszy w spadku Nowaczyńskiemu. Niech używa — ja napiszę jeszcze kilka słów i wracam do Zakopanego.

---

## II.

Dowcipny Aronek. — Żydowskie wieczory pod lipą. — Dziadzio naucza. — Mowa przyszłości, czyli wielkie znaczenie słowa: nu? — Gucio jako intryga i miłość. — Izio poeta.

Żydowie, zachłanni bardzo na wszelkie leczenie się, czynią to bardzo dokładnie i umieją wyzyskać umiejętnie słońce, wodę, piasek, nawet wiatr; dlatego od świtu do zachodu słońca piasek nadbrzeżny przypomina wiosenne legowisko fok. Młodzież igra swawolnie, a stare obojga płci napawają się wielką rozkoszą. Nawet stary patriarcha, na którego brodzie możnaby założyć laboratorium chemiczne, albo fabrykę mydła, miałyby się bowiem pod ręką wszystko do tej fabrykacji potrzebne, zjechał do Sopotu. Córki, zięciowe, wnuki i prawnuki czynią to i owo, on zaś siedzi w koszyku na plaży z miłą lubością, bo mu ten koszyk przypomina ciężkie czasy, kiedy w mniejszym koszyku nosił zapalki, jabłka, lub norymberszczyznę; siedzi sobie cały dzień i dobrotliwym okiem daje baczenie na małe żydźięta, błogosławieństwo boże i dumę Izraela. Wodzi za nimi rozmiłowanym wzrokiem i pilnuje, aby się nikomu nie działa krzywda, żeby Jakóbek nie sprzał Aronka, a Lejbuś, żeby zanadto nie ocyganił Bogusia w grze w guziki.



Czasem Aronek, który jest bardzo mały, zaczyna wrzeszczeć, jak opętany. Wtedy dziadunio powiada jemu tkliwie:

— Coś ty znowu narobił, Aronek? Czy ty nie masz wstydu, aby taki kawaler, taki duży mężczyzna robił sobie zmartwienie w mająteczki?

Wstydź się natychmiast!

A Aronek krzyczy jeszcze głośniej:

— To nie ja, to mnie zrobił Zdziś...

Dziadzio się uśmiechnął:

— Jak on tobie to mógł zrobić? No, ty się już uspokój, ja nic mamusi nie powiem. Czy kto słyszał? — Zdziś jemu zrobił! Ej, Aronek, ty bardzo jesteś śmieszny!...

Dziadzio jest bardzo dobry i czasem, kiedy najmłodsze pokolenie pęta się koło jego koszyka, dziadzio, zbiera wszystkie pociechy koło siebie i słodko je naucza:

— ...Kubuś, czy ty widzisz tej wody?

Kubuś myśli, że dziadzio jest ze starości trochę myzgiene, bo woda, i to bardzo wielka woda, jest o dwa kroki.

— Czemu nie miałem widzieć?

— To dobrze, że ty jej widzisz. A czy ty, mój słodki Kubuś, możesz mi powiadać, dlaczego, jak ty weźmiesz te wode do buziuchny, to ty ją zaraz wypluwasz?

— Dlaczego ja jej nie mam wypluwać? To jest słone wode.

— Właśnie to chciałem ciebie zapytać... Zdziś! jak

ty chcesz to zrobić, to idź tam dalej, dlaczego ty to robisz koło swego koszyka, gdzie ty się będziesz bawić w piasku?... Co to ja wam chciałem powiedzieć? Nu co? Aha! To ty mi teraz powiedz, mój drogi Kubuś, czemu wode w morzu jest słone?

— Dlaczego jest słone?

— Nu?

— Dlaczego ja mam wiedzieć?

— Dlaczego ty nie pomyślasz? Jak kto długo pomyśla, ten wszystko zgadnie! Boguś, to ty także nie wiesz? To nie jest ładnie! Twój ojczulku jest mądry człowiek, a ty nic nie wiesz... Jak wy sami nie odgadywacie, to ja wam powiem..

— To dlaczego jest słone?

— Może być, że wam kto powie tak: moje dziecieczki, wode w morzu dlatego jest słone, bo w morzu pływa dużo śledzi, może sto wagonów, może więcej — wiem ja? Śledzie jest słone, to jak jego woda opłuka, to jest także słone... Tak wam kto może powiedzieć, ale wy jego nie wiercie. To jest witz... Jak kto sobie z urodzenia zawsze podśmiecha, to on takie wymyśla hece... Morskie wode nie dlatego jest słone.

— To dlaczego jest?

— Ja tobie, Sędzimirek, powiem, tylko powoli. Czy ty jedziesz z okrętem, że ty się tak śpieszysz? Wode morskie jest bardzo słone przez wszystkich żydów na świecie.

— Jak to może być?

— To ja wam właśnie powiadam. Posiuchajcie, cò dziadzio mówi.. Jak Mojżesz prowadził żydów przez Morze Czerwone, to wode stanęło na dwie strony, aby żadnemu nie utopić. Mojżesz stał na plaży i bardzo się modlił. Czy on wiedział, czy takiej wody można wierzyć? Wtedy sobie pomyślił, że jak nagle zrobi się potopu, to będzie także nieszczęście, że nie może być większe... To on zaczął bardzo płakać... To on tak płakał z wielkiego zmartwienia, że się serce krajało. A co on napłakał, to pływało do morza. A teraz ty mi, Lejbuś powiadaj: jak ty płakasz, to jakiego ty smaku poczuwasz w usta?

— Jakiego ja mam poczuwać? słonego smaku!

— To wy teraz pomyślijcie: jak Mojżesz płakał do morza, to ono miało jakiego smaku? Słodkiego? Ono nie miało słodkiego, one miało słonego smaku i na tę pamiątkę wode morskie jest słone do dzisiaj. Wy to sobie pamiętajcie, że wszystko na świecie to jest na naszą pamiątkę. Jak wam kto będzie powiadał co innego, to on jest chamuś! Soß geleimt werden! Ty jemu nie wierz.. A teraz, moje dzieci, wy sobie zrobicie kamienice w piasku... A kto robi największe kamienice, to niech przyjdzie do dziadunia sprzedać... Albo ja lepiej pomyślam: ty, Aronek, ty masz kepele, ja tobie dam dwadzieścia marek, a ty idź kupić kamienice do Bogusia. Masz tu dwadzieścia niemieckich marek.

— Dlaczego dziadzio mówi niemieckie a daje polskie?

— Ty, mój figlarz ty, ty łobuz jeden! To ty zaraz spostrzegales? Ile ty masz lat? Pięć? Ty mi się bardzo spodobaasz... Masz dwadzieścia niemieckie...

Nieco dalej w wielkiej rozkoszy leżą na piasku grube ryby, koszerne, matadory, od giełdy. Błogi spokój, żadnego telefonu, żadnych kursów. Nagle powiada jeden:

— Czy ja się mylam, czy to tam biegnie Ignaś?

— Jak może biegać Ignaś, kiedy on jest w Gdańsku na giełdzie?

— Wim ja?

Pan Izak Kaloszer spojrział niespokojnie, bo Ignaś to jest jego prokurzysta. Tak, to się szybko zbliża Ignaś. Pan Kaloszer podniósł się na piasku, wszyscy zaniepokojeni. Firma Kaloszer zapytuje:

— Nu???

— Nu... — odpowiada Ignaś.

— Nie może być?

— Przecież mówię wyraźnie...

— Siedem i pół?

— Po co mam mówić dwa razy? Czy pan nie rozumie po polsku? Siedem i pół.

Potem zapada zmrok i żydowie odchodzą z ponad wody, bo a nuż będzie wielka burza. Młodzież idzie na stąg, Gucio odważny w białych getrach, Cesia Różanykwiat w czerwonym jumperze. Chodzą tam i z powrotem, niezliczone pary, rozkoszne, rozmarzone, wdzięcz-

nie w biodrach się kołyszące. Gucio wogóle jest łajdak i umie uwodzić kobiety, jak nikt.

— Panno Cesium! Pani w tym swetrze wygląda, jak róża...

— Nie może być! Pan Mieczysław mówi, jak zachód słońca nad Helem.

— Jeżeli pani jest przyjemnie to, co mówi pan Mieczysław, to ja mogę sobie pójść...

— Panie Guciu, dlaczego pan jest zaraz obraźliwy?

— Bo ja bardzo nie znoszę, jeżeli kto obrazi kobietę aczkolwiek to jest mój przyjaciel.

— To jak kto mówi poetycznie, to jest obraza? — Wątpię...

— Pani wątpi? To niech się pani zastanowi, co to znaczy, kiedy ktoś mówi do kobiety — li tylko dla komplementu: jesteś pani nadobna, jak zachód słońca.

— Pan mnie wprowadza w dziwną dystrakcję. To jasne, co on chce powiedzieć. Ja to czuję całą jaźnią. Panie Guciu, pan nie rozumie?

— Mimoходом nie rozumiem.

— To dziwne, pan jest przecież człowiek wzniosłego uczucia. Pan Mieczysław chciał powiedzieć, że w kolorze przypominam słońce, to jest najpiękniejszą rzecz na świecie. Pan rozumie?

— Frazesy!

— Panie Guciu! Ja sobie wypraszam pomówienie pana Mieczysława o frazesy.

Gucio zaśmiał się z goryczą, jak szatan.

— A czy się pani, panno Cesiu, zastanowiła, do jakiego słońca on z panią uczynił porównanie?

— Jakto, do jakiego?

— Pytam li tylko do jakiego? Do wschodzącego, czy do zachodzącego?

Do zachodzącego! Czy gentelman mówi kobiecie, że ona przypomina zachodzące słońce? Ha! ha! To mnie kosztuje jaskrawy śmiech!

— Panie Guciu!

— To był komplement prima!

— Pański śmiech jest sardoniczny...

— Myślę sobie!

— Ale dlaczego, niech pan powie dlaczego?

— Ja mam jeszcze pani mówić? Ha! ha!

— Pan mnie napelnia niespokojnem uczuciem. Ja odnoszę wrażenie, że pan jest w głębi szalony. Niech pan uspokoi wzburzenie, panie Guciu, ja pana błagam. Cesiuchna pana prosi... namiętnie prosi... Ja teraz czuję, że pan Mieczysław popełnił nietaktowny krok i nadużył przyjacielskiej stopy. Pan mi na to otworzył wzrok i ja za to panu dziękuję z głębi jestestwa... Panie Guciu, co pan robi? Zaklinam pana na zmienność fali oceanu.. Panie Guciu!... Bo sobie odejdę i powiem w samotnej ciszy że pan Guciu jest niedobry młodzian... jeszcze kto zobaczy, jak to można? Panie Guciu, bo będę krzyczała; czy skandal będzie w pańskim guście?... Aach, niedobry, po trzykroć niedobry!

Panna Dąbrówka siedzi w cieniu na innej ławce i

milczy, rozmarzona. Zaś obok niej pan Cyterszpiler szemrze, jak lekko trącona struna harfy:

— ...Bo kto panią zrozumie, panno Dąbrówko?... Czy to ja już raz powiedziałem?

— Bo pan jest poetą, panie Zdziś! Pan widzi dziwne rzeczy...

— Ja to pani powiadam... pani jest słodką, panno Dąbrówko! Ja tu czasem w ciemną, burzliwą noc przychodzę na szteg i sobie myślę.... Jak pani mniema, o czym ja myślę? Ja myślę o pani...

— Panie Zdzisiu! .

— Czy ja to mogę ukryć, czy tego cały świat nie widzi? Kiedy patrzę na morze, to wyraźnie słyszę, jak fala biegnie do brzegu i mówi tak smutno: Dąbrówka, o ty, moja Dąbrówka! Księżyc kiedy wychodzi za chmury — to pocóż on wychodzi? On szuka pani i jakby zapytuje: Gdzie jest panna Dąbrówka?

— Niech pan o tem napisze wiersz...

— Jak się da, to się zrobi... Czemu nie?

Pewnie się dało. Czemu nie?

---

### III.

Okropna awantura na temat: „Milcz Pan do mnie!”.

Morze w sopockiej kałuży zaczyna być piękne dopiero późnym wieczorem, kiedy nieszczęsna woda wywęszy wysłanemi na zwiady falami, że ostatni żyd poszedł sobie do miasta. Przez pewien czas woda szumi ostrożnie i z lekka tylko podbiega do brzegu, bo jeszcze po nim łązi ktoś samotnie. W tej chwili jednak wyjrzał z poza chmury księżyc.

— To katolik! — krzyczą z radością fale odważne.

— Nie może być! — ryknęły fale trwożliwe z daleka. —

I wtedy całe morze, obłąkane z radości wali na łeb, na szyję ku brzegowi, aby się przyjrzeć temu dziwnemu człowiekowi, który się tu zabłąkał. Morze wpadło w zachwyty i cała zatoka wierci się i kręci z radości, jak rozradowany psiak kręci się w pustej wesołości za własnym ogonem. Robi się hałas, szum i rwetes. Oszalała z wesołości woda bulgoce, okręcając się dookoła wbitych w morskie dno słupów, chlupoce, tłukąc o podbrzusza łodzi, a wiatr trąca żaglami i klaszcze niemi, jak złożonemi dłońmi człowiek w teatrze.



— Cieszymy się, cieszymy się, cieszymy się... — szem-  
ze woda, — żydy poszły, żydy, żydy...

Księżyc własnym oczom nie wierzy, więc je wyba-  
łusza i uśmiecha się. Łazi potem, jak złota kaczka po  
wodzie, gładzi fale i milczącą pieszczotą pociesza:

— Biedne, biedne fale... Biedna, biedna, woda.....  
To tylko przez lato, przez lato... O, rieszczęsne wy fale.  
Rozpogódźcie się, wyzłóćcie się, żydy pojedą, pojedą...

Więc woda pomrukuje uradowana, jak kot, głaska-  
ny po grzbiecie i spokojna, dopóki kur nie zapieje i  
pierwszy żyd nie przyjdzie próbować wody wielkim  
palcem prawej nogi.

Ale żydy spać nie poszły. Tylko stare Abrahamy  
śpią, brodą nakryte, jak kołdrą z poźółkłej waty. Tylko  
stare matrony śnią słodko o tem, że z morza wypływa  
olbrzym Ogg, który ma wszystko wielkie, a wiadomo, że  
patriarcha zrobił z jego zęba stół. Młode ladies i mło-  
dzi gentelmani poszli użyć życia.

Życia używa się w „Mazurce“, albo w „Kakadu“,  
w „Kakadu“ lepiej, bo ciaśniej. To stara zasada w każ-  
dym wypadku, jeśli się „ma przyjemność“. Program ści-  
sły i wypróbowany tego używania jest taki: o godzinie  
ósmej posyła się dwóch jingelesów w getrach, Wicka  
Pomeranza i Wacka Kaloszer, aby zajęli stolik w „Ka-  
kadu“, bo reszta towarzystwa poszła na kolację do  
pensjonatu, albo tam, gdzie jest taniej i gdzie niema  
przymusu picia wina. Dziewice zresztą muszą się wy-

stroić, bo w „Kakadu“ jest w nocy bal. Wicek i Wacek bronią przez dwie godziny stołu, jak reduty, którą trzeba obronić za wszelką cenę; niezadowolonemu kelnerowi tłumaczą, że tu przyjdzie takie towarzystwo, co się co dnia kąpie w szampanie.

O godzinie dziesiątej przychodzi towarzystwo, które ma minę na temat: `hop. dziś! dziś! z życiem chłopcy.

— Wicusz, stolik jest?

— Co nie ma być

Przy stoliku siada czternaście osób i zamawia butelkę Mosela na drożdżach.

— Tylko zimne! Panna Klarusia lubi zimne? Pewnie lubi...

— Czemu ja właśnie mam lubić zimne?

— Aby ugasić napiętność... Zgadłem, czy nie?

— Może tak, a może nie...

— Panna Klarusia to się zawsze wykręci.

— Pan mi zawsze dogadujesz...

— Salciu! Co jazzband gra?

— Ach, „Blady Niko“! Zobacz pan, co on robi ze smyczkiem. Ach, sympatyczny.

— „Blady Niko“ to jest śliczne.

— Nie zauważam...

— Bo pani ma zmiennych gustów. Jak pani tańczyła wczoraj „Blady Niko“, to pani mówiła, że śliczne.

— To zależy, jak się z kim tańczy...

— Ty Wacusz, co ty tak pijesz, jakby to była woda?

Ty czasem idź zobacz do garderoby, bo panna Zosia zostawiła futro... Ty czasem zobacz, aczkolwiek to jest solidny interes.

— Popatrzaj, Dora, kto to jest?

— Nie przypuszczam...

— Panie Boluś, pan nie wie?...

— Kto? ja nie wiem? To jest artystka z Rozmai-  
tości, ona się dzisiaj do mnie uśmiechiwała na sztegu.

— Panie Boluś, pan ma dziwne szczęście do ko-  
biet... Po co pan wszystkie kobiety bałamuci? A ta, kto  
ona jest?

— Ta jest od tego, co tam siedzi na lewej ręce.

— Co pan powie? Ona ma bardzo krótki stan...  
Popatrzaj Zuzia, czy nie? Co on jej płaci, ciekawa je-  
stem? Panie Boluś, pan wszystko wie... Co kosztuje  
taki interes?

— Ja bym dużo nie dał...

— Kto się pana o to pytał? Pan jest dzisiaj nie-  
możliwy do zażenowania.

— Sza! sza! dzieci! sza! Będzie shimmy!

Wtedy dzieci uśmiechają się do siebie najcudniej-  
szym uśmiechem i jedno chwyta drugie w okolicę gó-  
rzystą. Boluś tańczy z Salusią, Izio z Klarusią, Mieczysław z Dorą. Boluś jest bezczelny lajdak, bo przyciska Salusię tam, gdzie nie potrzeba, tak, że Salusia ma wy-  
pieki tam, gdzie widać. Izio tańczy wspaniale, tak, że  
dziewice patrzą zachwycone; tańczy prawie na koń-  
cach palców, czasem zaś piętę zderzy z piętą z gracją

niewymowną, całym ciałem zaś i swoim i tancerki trzęsie tak, jak kucharka galeretą. Oczu nie można oderwać. Izio jest boski. Tancerka jest gorsza, bo nie umie zrobić miny z rozkoszy wniebowziętej, lecz patrzy, głupia, szklanemi oczyma na Izia, jakby przerażona, że straszliwy zdobywczyni Izio gotów jeszcze tu na sali... Klarusia wogóle jest głupia i nie wie, że Izio tańczy, jak należy.

Rozochocony Izio kazał dać jeszcze jednego Moze-la i postanowił dać koncert taneczny z umiłowaną Bolusia, panną Salcią.

O, pocóż doszło do tego!

Boluś, który zna taneczne metody Izia, zgodził się na to bardzo niechętnie i zdążył szepnąć jeszcze swojej dziewczewi łagodne ostrzeżenie:

— Panno Salusiu! Niech się pani trzyma zdaleka, bo on w shimmy jest trochę świnia...

Któż jednak pojmie kobietę? Salusia okazała się stworzeniem niestałym i niewdzięcznym. Izio oszalał i zataczał wspaniałe kręgi, spocony, z rozdętymi nozdrzami, a ona z nim. Ha! Bachantka! Między piersi dzielnych tancerzy nie wetknąłbyś listka papieru; ręka jego na jej tylnem biodrze jakby przyrosła. Boluś zbladł jak Niko. Wydał pogardliwie usta i odwołał trzy kręmy i jeden Ementhaler. Cierpiał niewymowną męką. To bydlę Izio i ta hetera tańczą po jego sercu. On nie myślennie podnosi się na palcach, jakby czuł, że ostrym końcem buta wwierca się w mózg Bolusia. O, bydle...

bydłę! Ona trzęsie tem i owem, jakby chciała pokazać, że się symbolicznie natrzęsa z niego, z tego, który kocha.

Przez umęczony mózg Bolusia przebiega cicha myśl, jak skarga:

— Salusia, ty, niewierna ty! Kto ci kupił czekoladki, czy ja, czy ten cham, co ci tak trzęsie jak gruszkowe drzewo?

Więc go pasja napadła. Patrzył do czwartej rano ironicznie, a każde jego spojrzenie było uderzeniem bicia. Serce w nim skowyczało: Salusia! Salusia! — ale on zaciął usta i zapłaciwszy jedną siódmą i dwie czternaste części rachunku, wyszedł, jak noc ponury.

Kiedy odprowadzili damy, kiedy z nonszalancją uklonił się Salusi, demonstracyjnie ucałowawszy rękę Klarci, kiedy panowie zostali sami, w powietrzu była elektryczność.

— Bardzo elegancki wieczór! — rzekł zwycięski Izio.

— Nie zauważałem! — syknął cierpko Boluś.

— Pan nigdy nic nie zauważa...

— Ja pana proszę o ścisłe zaopinjowanie tego powiedzenia.

— Nie jestem usposobiony panu zaopinjować.

— To ja panu powiem, że pańskie postępowanie nie jest ganz correct...

— Jak to pan rozumiałeś?

— Jak się panu spodoba...

— Panowie, panowie! Po co się sprzeczyć? Było bardzo przyjemnie, a panowie zatrują atmosferę...

— To nie jest pański interes... Pan płaciłeś za Mosel? Ja się tylko pytam? Dlaczego ten pan ośmiela twierdzenie, że nie jestem correct? Ja się tylko pytam?

— A ja nie mam upodobania, żeby z panem odpowiadać...

— Czy to jest pańskie ostateczne słowo?...

— Jak pan sobie życzy...

— Tu niema życzy — nie życzy... Albo pan mi odpowiadasz, albo ja czynię rewelację...

— Pan czyni rewelację? ... Oj, panowie, słyszycie, on czyni rewelację... Na honor! uśmiechałem się niezwykle... Jakie pan czyni rewelację?

— Całkiem proste...

— Płonę od ciekawości... Panna Salusia będzie także ciekawa...

— Pan zostaw pannę Salusią, i pan idź precz od świętego imienia... Pan słyszałeś? Moja rewelacja jest prosta: pan jesteś zwyczajny cham...

— Co pan powiedziałeś? Panowie słyszeli to aroganctwo? Pan się odważasz powtórzyć?

— Czy ja się odważam? Pan jesteś bydlęcy cham!

— Milcz pan do mnie!

— Jak mi się będzie spodobało...

— Milcz pan do mnie natychmiast!

— Chamuś!

— Chcesz pan dostać w oblicze?

— Kto, ja?

— Ty parch, ty!

— Oj, oj, oj! Weźcie mnie od niego, bo ja go zabiję! Taki złodziej, taki drab, taki bydlak zwierzęcy!

— Pan mnie jutro odpowiesz na to słowo!

— Ja panu jutro dam w pysk na sztegu, aby wszyscy widzieli...

— Zobaczymy, kto komu? To się da widzieć...

Nie wiem, kto dał komu, ale Izio stanowczo nie miał racji; nie należy bowiem ścisnąć cudzej dziewczyny w tylne biodra. Jest to stanowczo w złym tonie. Najlepiejby było sprać Salusię, która nazajutrz chodziła dumna i szeptała do Halszki Konieczpolskiej:

— Boluś wyzwał Izia na rozstrzelanie... To straszne!...

— Co strasznego?

— Bo ich mogą zamknąć za pojedynek...

— To ty kochasz Izia?

— Nie mów, Halszka, nie mów, bo mi serce pęka...

On jest taki słodki...

Tak się oto bawią żydowie w pięknym Sopocie, gdzie niebo łka z rozpaczą i dlatego ciągle tam deszcz pada....

---

#### IV.

Gdańskie gadanie. — Jedźmy do Gdyni. — Proboszcz i foki  
— Najazd artystyczny. — Szaleństwo, zwane „piknikiem“. — Z czego i jak się robi? — Lwowskie dzieło.

W każdym, nawet najbardziej zwarjowanym domu, jest kącik, gdzie można odpocząć, trzeba jednak z Sopotu, z Polski tymczasowej, niemieckiej, pojechać do Polski już stałej, do Orłowa, do Gdyni, lub na Hel. Kącik Polski, na razie zamieszkały przez ludzi, nerwowo tłukących się, jak mysz w klatce, wygląda, zbliska bardzo śmiesznie. Sprusaczona, podjudzona, podbechtana, zdopingowana antypolska furja zacnych Gdańszczan wygląda jak furja miłego pijaka, któremu coś uderzyło na mózg. Trochę się biesi, krzyczy, wymachuje rękami, czyni szykany, ale się wreszcie mały Moritz gdański uspokoi, kiedy dostanie po palcach, nie dostanie polskich kartofli na leguminę i kiedy wreszcie zabierze rozum, który zresztą zawsze mieszkał w prześlicznych gdańskich domach. Gdańsk przypomina takiego potwórka, który ma ogromną głowę, w głowie tej ogromnie wiele morskiej wody, poza tem mały brzusek, krótkie ręce i śmiesznie małe nogi. Powiedzieli temu sympatycznemu idiocie: hii się z Polska! Wiec biedactwo wierzga



zabiją nóżką i wydaje z siebie śmieszny pisk. Stare Gdańszczany, mądrzy ludzie, poważni ludzie, spokojni, bogaci i przewidujący, ciężko wzdychają i kręcą na ten widok głowami. Młodzi nie rozumieją się na interesie i robią głupstwa i strasznie są dumni, jeśli pacholek, podający w knajpie potrawy, zachowa się arogancko wobec polskiego gościa. Straszliwe to zwycięstwo dyplomatyczne napawa dumą gdański senat. Spokojny Polak na to nic .. Ale kiedyś się odwinie i gotowa być nieprzyjemność.

To też kto już nie może wytrzymać w Sopocie, kiedy już wszystkich porachował żydów i opił się tych rodzynkowych pomyj, tego złota Renu, które z rodzynków i drożdży robią w co drugim sopockim domu, ten siada na wspaniały okręt z małym kominkiem i za kilka marek płynie, jak delfin, na ten przykład do Gdyni. Poleca się również drogę lądową gościńcem przez Kolibki, gdzie stoi miły polski policjant, który się bardzo miło uśmiecha i gdzie drogę zagrażdza sękaty długi drąg, taki prosto z lasu, na żadne kolory nie pomalowany, bo po co taki wielki wydatek? Przecież każdy pewnie wie, że jeżeli jest drąg, to pewnie to oznacza, że tu jest brama do wielkiego państwa. Całe szczęście, że policjant się uśmiecha, żeby naprawić wrażenie.

Za tym drągiem za to jest ślicznie, co zresztą każdy wie, kto wędrował tem wybrzeżem, na którym las przegląda się w fali, a fala kocha się w lesie. Boże, jak tu może być pięknie i jak tu będzie pięknie, jeśli mądrzy

ludzie przygotowują tu siedziby dla porządných ludzi i jeśli ci mądrzy ludzie nie będą naśladowali sopockiej wstrętnej tandety, obrzydliwości architektonicznych, stłoczenia domów, ohydneho, taniego szychu.

Kiedy się jedzie okręcikiem do Gdyni, wybrzeże polskie rwie oczy, taką tworzy panoramę. To też radosny przybijasz do wybrzeża w Gdyni. W porcie stoi dzielny okręt szkolny „Lwów“ z drugim napisem „Gdańsk“, co oznacza miejsce postoju. Autentycznie zdumiał się raz jeden żydowin:

— Popatrz pan, — powiada — Lwów—Gdańsk, — ktoby myślał, że już jest bezpośrednie połączenie! Co pan powiesz?

Nie potrzeba nic „powiadać“, bo w Gdyni z żydami wogóle się nie gada. Żydowin zresztą, przybywszy do Gdyni, kiedy się rozgrzał, wraca natychmiast bezpośredniem połączeniem Gdynia—Sopot. Dla żydów Gdynia jest miejscowością niemiłą. Skąd tu tylu katolików?

Gdynia przeżywa teraz ten okres, jaki przeżywało Zakopane, tuż po „odkryciu“ go wśród Tatr, okres entuzjazmu ze strony przybyszów, rozciekawionej podejrzliwości ze strony tubylców, nieco zdumionych, skąd taka na nich przyszła moda? Nie mogło się to pomieścić również w głowie jednego z nadmorskich proboszczów, który minionego lata wpadł w złość i bardzo nieładne rzeczy głosił z kazalnicy zdumionym nadmorskim owieczkom:

— ...Po co oni tu przyjeżdżają? Kto ich tu prosił? Na piasku gołe ciała pokazują... Precz! gonić to trzeba!...

Nadmorskie owieczki słuchały, słuchały, kiwały głowami, ale wzniosła nauka świętobliwego męża poszła w las. Myślały sobie bowiem stare rybitwy:

— Jak foki cielska rozkładają, to prawda, ale płacą... Niech tam leżą...

Zle to bardzo, że zacny kaznodzieja tak się zapezrył i zamiast to swoje kazanie powiedzieć do ryb, wykrzyczał je do ludzi. Ryby machnęłyby na to ogonem, ludzie jednak; gdyby byli głupszy, mogliby potopić nieszczęsnych przybyszów, którzy łaski nie znaleźli u księdza plebana. Oj, księżę plebanie! Czy nie lepiej łowić flądry, niż takie kazać androny? Czy nie lepiej patroszyć węgorze?

W przykładowej tedy zgodzie żyją sobie ludzie na tem rozkosznem wybrzeżu, szczególnie zaś w Gdyni, którą umiłowało bogactwo artystyczne, to też tego tałatajstwa wszędzie pełno. Gdzie się ruszysz to malarz, gdzie spojrzysz poeta, gdzie wleziesz — aktor. Wszystko to albo już żonate, albo już rozwiedzione, albo jeszcze nie rozwiedzione. Zdumiewającą jest rzeczą, jak się w tej dostojnej sferze lubią ludzie żenić i rozwodzić; gdyby można, robiłby taki ananas ten interes co tygodnia. W Gdyni występują w swojej naturalnej postaci, to jest — goły. W ubraniu, czy bez ubrania, zawsze taki jest goły. Gdyby kto czynił studia nad brzegiem i

chciał wśród tych golasów nieomylnie oznaczyć zajęcie każdego wedle metody Sherlocka Holmesa, trzeba, żeby kierował się takimi wskazówkami: człowiek goły, nogi cienkie, brzuch nieforemny, lewa łopatka niecc podniesiona do góry, pierś zapadła, to literat; człowiek goły, nogi żylaste, pierś kosmata, na szyji wieczna obrączka, wytarta przez kołnierzyk, to malarz, człowiek goły, stąpający z gracją, nadmiar brzucha wciąga umiejętnym oddechem, nozdrza przy spotkaniu niewieściego ciała rozdęte, w wodzie unika zamoczenia fryzury — to aktor; człowiek goły, nigdy się nie kąpiący, łażący cały dzień po brzegu na sucho, ciało nie do opisania, proporcje niemożliwe, binokle — to dziennikarz. Ciała kobiece są trudniejsze do rozpoznania; rzecz ta wymaga studjów dłuższych i nie tak powierzchownych.

Zacni ci ludzie nadają ton Gdyni i zawładnęli nią najstuszniej w świecie. Oni jedni uwielbiają biedną jeszcze i niestojną piękność Gdyni, podczas kiedy hołota przebywa w Sopocie, oni jedyni wprowadzają tu życie i „robią ruch w interesie“. Jest to zresztą najmilsza czereda z Zakopanego, którą knajpiarze zakopiańscy chodzą dumni, a flądry rozmiłowanem za nimi wodzą do goła odarli, a że tu można chodzić bez portek, więc chodzą dumnie, a flądry rozmiłowanem za nimi wodzą okiem.

Wszystka socjeta, która zjeżdża do Gdyni, to ludzie zacni i mili, ale artystyczne bucefały, to przecież zawsze najmilsze. Na to niema rady. Pan Bóg, gdy

jest smutny, a takiego z góry spostrzeże, to się miło uśmiecha.

— Patrz, święty Piotrze, — powiada, — jaki Skoczylas znowu dziś wesoły . . .

— Akwaforty robi, akwawitę pija, co takiemu bieda zrobi? . . . kiwa głową święty Piotr.

To też wszelka bieda została utopiona w morzu, a została radość, żądza życia, miłość, słońce letnie, piasek i morze. W Sopocie są kurhausy, spelunki, trypoty, jaskinie, kabarety, tancbudy — w Gdyni niema nic, a gdzie się lepiej bawią? Ha! To też lato w Gdyni jest rozkoszne, bo czereda ta nawet na Saharze wynalazłaby jakiś mały szynk, gdzie radosną wrzawą i szklanką cienkiego wina można pochwalić Boga i sztukę. Wtedy się mówi: artyści zrobili piknik!

„Piknik“ jest to słowo straszliwe, które ma w sobie coś ponurego i coś wesołego zarazem. Wymyślone zapewne przez Anglików, brzmienia rozpaczy nabrało dopiero w Polsce, w Warszawie zimą, a latem w Gdyni. Kiedy się bractwu od pędzla i pióra znudzi wszelkie pijaństwo w knajpie, wtedy we wzniosłych duszach nabrzmiewa żądza święcenia jakiejś uroczystości, stadnego festynu, dionizyjskiego święta. Żądza ta rodzi się nagle, niewiadomo z jakiego powodu, jednego dnia, odrazu u wszystkich, przychodzi epidemicznie, jak grypa nowoczesna, albo obłęd średniowieczny. Ha! To straszne... Wszyscy dostają gorączki. Literatowe i malarzowe dostają wypieków, zbierają się

sześć razy dziennie i radzą; każda z ołówkiem w ręku i wielkim arkuszem papieru — myśli, doradza, zapisuje, kreśli, zmienia, przypomina, wypomina, zraża się, obraża, godzi, przeprasza i zaprasza, zaprasza, zaprasza ... „Wtajemniczonych“ się nie liczy; to są opoki, na których można zbudować wielki szynk, senatory puszczy, pijaki groźne i srogie, cechowi bracia, wiryliści pikników i szaleństw. Tych jest garść spora. Kłopot jest z wszelkiem tałałajstwem, które trzeba prosić. Każdy szlachcic ma swojego żyda, każdy artysta swojego satellite, satelita ma żonę, żona ma przyjaciółkę. Przydać do tego trzeba aktorki, uważane, jako rodzynki do pudingu. Lista obejmuje tedy około pięćdziesięciu osób. Jak bal, to bal! Z tą chwilą zaczyna się największa trudność: wyszukanie takiego znakomitego warjata, który się zgodzi na wypożyczenie swojego lokalu na „piknik artystyczny“. Widziałem wiele takich „pikników“, ale nigdy nie widziałem warjata recydywisty, to jest tego szaleńca, któryby dał swój czysty lokal po raz drugi, raz poznawszy, jak się artyści bawią. Na jeden raz zawsze się jednak złapie takiego biednego człowieka, który przez całą noc miał „honor i zaszczyt“ — naza jutrz jednak nie miał w komplecie szkła, poduszkę znalazł na balkonie, a niedopałki czterech tysięcy papierosów wszędzie, gdzie może ręką sięgnąć człowiek, nawet na ramie obrazu, nawet na żyrandolu w salonie.

„Piknik“ jest to zabawa w wielkim stylu, polegająca na tem, że każdy coś ze sobą przynosi: przywilej ten

daje niesłychane pole do fantastycznych pomysłów; poza zimną wieprzowinę fantazja ludzka dotąd nie wyleciała, za to jednak wymyślne frykasy, nowalje i potrawy, tak kosztowne, jak sałata z kartofli z cebulą, mają swoje tradycje; jeśli jest sezon pomidorów, stół się ugina od złotych pomidorów; możesz jeść całą noc i jeszcze zostanie pięć koszów. Wszyscy przynieśli pomidory, albo wszyscy przynieśli sałatę z rzodkiewek, albo wszyscy przynieśli ser. Na to jednak mało się zwraca uwagi; doświadczony weteran piknikowy przychodzi na dionizyjską ucztę artystyczną zawsze najedzony. Weteran przychodzi, aby się sumiennie napić.

Nie raz jeden opisywałem już bachanalje; szczytem był głośny swego czasu „bal u Chrzyszczu“, — lecz tak mi się tylko zdawało. Na „piknik“ każdy również przynosi coś do wypicia, co mu się tylko podoba. Gdyby to zlać razem, umarłby człowiek w mękach, w konwulsjach, i w kurczach na sam widok tej makbetowej zupy. W głowie się mąci na widok samych tytułów butelek. Tabromik dostałby kołowacizny. Oszałałby każdy chemik. Słodkie, kwaśne, gorzkie, angielskie, polskie, francuskie, rumuńskie, kaukaskie, greckie, hiszpańskie, palestyńskie, białe, czerwone, żółte, zielone, pomarańczowe, wiśniowe, czyste, mieszane, zakrapiane, wzmacniane, kminkowe, pieprzowe, na skórkach, na pestkach, na owocach, gęste, lepkie, cienkie, straszne, okropne, nudzące, stawiające oczy w słup, trujące, rozweselające, — wszelkie świństwa, jednym sło-

wem, na którem nalewkowskie żydy przykleiły najwspanialsze etykiety. I pomyślcie sobie, że o siódmej rano nie zostaje z tego ani kropla. To się nazywa „piknik“.

W Gdyni już znają tę instytucję. Na przyszłe lato, jako honorowy weteran, mam obowiązek stawienia się w Gdyni na siedmiu piknikach, już zorganizowanych. Na przyszłe lato bowiem potroi się gromada artystycznych bucefałów, która pokazała plecy Zakopanemu, gdzie się żaden „piknik“ nie udawał, gdyż wyczerpano zapasy. Teraz jest i będzie modana Gdynię, pocziwą, kochaną Gdynię, która — rzecz prosta, — źle skończy w ten sposób. Zaczyna ta i stateczna dotąd miejscowość ujawia bowiem popędy bardzo podejrzanego; jest w niej zarodek szaleństwa. Ho! ho! dziewczeczka budzi się do życia; jeszcze oczki, niebieskie, jak morze, ma skromnie spuszczone i jeszcze zapiata warkoczyki, ale się nie uchowa w swem skromnem panieństwie.

Już tam przyjechały Lwowiany.

Straszny to jest naród. Przyjechali do Gdyni, spojrzeli zdumieni się i powiada jeden do drugiego:

— Ta, jak Pana Boga kocham, tu można żyć...

— Ta joj, czemu nie?

Morowe to są chłopaki i nie lubią wiele gadać. I ni z tego ni z owego wybudowali wielki dom. Dom jeszcze dachu nie ma, a w środku już tańczą. W łóżku trzeba czasem pod parasolem, ale w tańcu to nie zawa-



dza. Ale Lwowiany już z pogardą patrzą w stronę Sopotu, tak są dumni ze swojej „Rivieri“.

Głupi gość będzie naturalnie kręcił nosem, że mu jeszcze tynk pachnie i że niema w kranie różanej wody, ale mądry gość myśli sobie, że ta „Polska Riviera“ jest wspanialszym palacem, niż Negresco w Nicei. Deszcz nie zawsze pada, zresztą kiedyś będzie i dach. A zaraz potem będzie drugi dom, potem trzeci, wedle tej metody, wedle której zbudowano Kraków.

A lwowskie, kochane chłopaki chodzą dumne, jak pawie. Jeden ma nawet monokl w oku i ten robi honory gospodarza domu; z miną lorda, który mówi do króla:

— Sir, zatopiono nam dwa pancerniki!

Zwraca się do jakiejś kuracjuszki, która pamięta najazd Wikingów:

— Pani dobrodziejka się spóźniła, wieprzowej już zabrakło, jest tylko cielęca z nerką. Całuję rączki! . . . .  
wieczorem będą tańce . . .

Kiedy mnie tam ujrzano, — mój Boże! — rozradowały się nasze lwowskie dusze; komitet mi ustąpił „wielką wieprzową“, z całego serca dodano kapusty. I żeby mnie uczyć „komitet budowy“ wydał niebywale polecenie nakrycia mojego stołu obrusem. Służący myślał, że komitet gromadnie zwarzował. Co takie indywiduum może wiedzieć o tem, jak się Lwowianie kochają? Zaczęło się więc gorączkowe szukanie nakrycia stołu, aż mi go z tryumfem nakryto — prześcieradłem . . .

Bo i dlaczegożby nie? Gość w dzień nie śpi, tylko się kąpie, po co mu prześcieradło?

Więc uściskaliśmy się z tego powodu raz jeszcze. Ja zaś pomyślałem sobie, jaki to dziwny naród te cholery ze Lwowa: co się we Lwowie zwali jeden żydowski dom, — to w Gdyni polski wyrasta.

Budujcie, budujcie, chłopaki najmiłsze!



## CICHE WSPOMNIENIE.

---

W onych dobrych czasach, szesnaście lat temu, kiedy się głodowało uczciwie, zagnał mnie los, stary włóczęga, na jakieś krakowskie poddasze, gdzie w pobliżu gwiazd o rym było łatwiej.

Młode dusze gorzały, jak płomieniste krzaki, żywiły się Słowackim i brały żywy udział w tem gorącym i promienistym dziele przemienienia „zjadaczy chleba w Aniołów“, które ze szlachetnym uporem rozpoczął wówczas histerycznie uwielbiany, lecz mało zrozumiany jeden z największych polskich ludzi, Wincenty Lutosławski

Inne to są sprawy i w tej chwili dalekie, dlatego je zaś wspominam, że owe dni przypadkiem związały się z Górnym Śląskiem. Lutosławski pracował wtedy nad owem precudownem i niezrównanem wydaniem z rękopisu „Genesis z ducha“ Słowackiego, młodzież zaś z wypiekami na twarzy i z błyszczącymi oczyma pomagała mu wedle sił i nawet ponad siły; ja zaś nigdy żadnego późniejszego uznania nie cenilem bardziej, niż tego ustępu z przedmowy do „Genesis“, gdzie ten dziwny człowiek, którego genialność rozplywa się w

polskiej mgławicy, serdecznie moje wspomniał nazwisko. Dumny byłem, i szczęśliwy.

Już się praca miała ku końcowi, kiedy jednego dnia gorączkowo czynny, pragnący jakoby na wszystkie promieniować strony, pełen jakiejś ognistej, niewyczerpującej się energii, prof. Lutosławski, — decydujący się w jednej chwili, zapowiedział mnie i młodemu poloniście, dziś wybitnemu uczonemu, że wieczorem jedziemy na Górny Śląsk. Była to zmaterializowana odpowiedź na błagalne stamtąd listy i prośby o żywe słowo. Pojechalśmy, rzecz prosta, bez wahania, z bijącym sercem i nietajoną radością.

Lutosławski miał tu już ogromnie rozgałęzione stosunki, znany był i bardzo szanowany; wiadomość o jego przyjeździe rozniosła się w tej chwili, już w kilka godzin po przybyciu, przemawiał w niewielkiej izbie na stryżku w Zabrze. Na ścianie duży krzyż i Biały Orzeł, w salce zaś tłok.

Patrzyłem wzruszony i przejęty do głębi na zasłuchane, twarde twarze, na których znać był jeszcze pył węglowy, ten, którego już zmyć nie można. Oczy szeroko rozwarte, pomalowane rozblaskiem płomienia, rozumne i jakoby chciwie przypatrujące się każdemu słowu, jak gdyby tym Cyklopom, twardym i mocnym, mało było jedynie słuchania. Rozumiałem, że to jest wielka, wspaniała dla tych ludzi biesiada; cała zaś uroczystość czyniła wrażenie osobliwego kazania w katakumbach, w źle oświetlonej salce, w której się mnoży-

ły cienie, tak, że się zdawało, jakoby słuchał tłum, nie kilkudziesięciu ludzi, oddech wstrzymawszy w piersi i nakazawszy ciszę spracowanym sercom, co pewnie bi-  
ją jak młoty. Zaś Lutostawski, w onych hardych, tęgich  
ludzi, w tej chwili w dzieci zmienionych, słowem bijący  
— czynił doprawdy wrażenie jakiegoś proroka, co  
przyszedł z daleka, wszedł w węglowe pieczary i struch-  
lałym ze szczęścia niewolnikom, wolność zapowiada.  
Człowiek ten, który na wielkomijskich estradach, oto-  
czony kabotyństwem i snobizmem zhisteryzowanego  
tłumu, marnował niesłuchanie zasoby swojej wiedzy i  
wielkiego entuzjazmu, rzucając grochem wielkich słów  
o ścianę małych serc, — wrósł w tej chwili na śląskiem  
poddaszu, rozłupywał serce swoje, jak purpurowy, sło-  
dyczny pełen owoc, i karmił tę zgłodniałą gromadkę naj-  
cudowniejszych na świecie słuchaczy, te wielkie dzie-  
ci, mające twarze marsowe i czoła, pełne głębokich  
brózd, a oczy niezmiernie dobre, pełne uwielbienia, roz-  
iskrzzone, a czasem pokrywające się mgłą, kiedy sło-  
wa mówiącego stawały się czerwieńsze od ognia, albo  
pomazane były krwią opowieści o męczeństwie pol-  
skiem.

Kiedy skończyło się przemówienie, odbyło się coś  
może jeszcze piękniejszego. Jak do dobrego lekarza  
który posiadał niezmiernie zaufanie, przychodził ten i  
ów zcicha, z prostą prośbą: ten pytał, co ma czynić, by  
się ukrzepić w miłości Ojczyzny, ów nieśmiało wyzna-  
wał rozpacz i szukał rady, bo zbłądził, obalamuony,

wreszcie kobieta, z twarzą jak popiół, tak umartwioną, prosiła wzruszonym głosem, by jej zwrócono duszę męża, który pociechy szukał w trunku.

Patrzyłem ze zdumieniem, niezmiernym podziwem na tych ludzi, zasobnych i tęgich, zdawałoby się, na nic nie czujących, jak rozstajali, kiedy na nich wiatr z Ojczyzny powiał i jak ich nagle napełnił jakiś święty duch, który przyleciał na skrzydłach polskiej mowy. Widać, jak w tej chwili, uspokajając powoli wzburzone fale krwi, włączają w serce każde usłyszane słowo, aby je powtórzyć w domu dzieciom, czy żonie, i jak powoli na zoranych czołach, na których było dotąd skupienie i wielka, pracowita powaga, zaczyna rozbłyskać świetlana duma, że i oni są kość z kości tych, o których mówiono, że są podobni bohaterom największym, że i oni są z tych, którzy umierają za wolność. Myśleliśmy wtedy, jak niezmierna moc musi być w tych ludziach, w tych potężnych duchach ziemi, którzy są wszyscy tacy. Przez setki lat z trudem i wysiłkiem, któremu oczy krwawy pot zalewa, dobierają się przez węglowe zwały do serca ziemi, a Ojczyzna szuka ich serca, bijącego głośno w pieczarze piersi. Oto je właśnie znalazła i radować się będzie weselem wielkiem.

Z młodzieńczą zajadłością, odurzeni i porwani, postanowiliśmy choć w drobnej części naśladować Lutostawskiego. On przez kilka dni pobytu poruszył serca i rozhuśtał morze uczucia. Mówił, pisał, radził i nauczał. Był tam przyjaciel jego, całym sercem mu od-

dany, głęboki i serdeczny człowiek, Joachim Sołtys, który w Gliwicach wydawał dla górników doskonale piśmko p. t. „Iskra“.

Mnie w tejsze chwili, jako dwudziestoletniego „literata“ (pożal się Boże!) odkomenderowano do roboty w piśmie.

Raczej czując jakimś piekielnie wzmożonem napięciem, niż wiedząc, co i jak pisać należy, pisałem: wiersze, nowele, opowiadania. Było to wszystko wcale głupie i niedowarzone, lecz więcej było w tem szczerogo, rozplomienionego serca, więcej jasnej, uczciwej miłości, niżby jej trzeba było na sto powieści. Zaczny J. Sołtys doradzał i wskazywał, co tych spragnionych miłości ludzi zajmie najwięcej. Podrażniona moja „literacka“ duma, przytem zaś gorąca chęć odwdzięczenia się za serdeczność gościny, czyniła, co mogła; to też niebo się przedemną otwarło, kiedy mi uściskiem stu twardych, żylastych rąk dziękowano za jakąś ramotę, w której prócz uczciwego serca i wielkiej prostoty słów, nie było wiele więcej.

Mieszkałem to tu, to tam, w Zabrze, w Gliwicach, w Katowicach, coraz to u kogo innego, wszędzie przyjmowany serdecznie, jako członek rodziny. Pamięta te czasy dobrze uczciwy, w szlachetnym stylu pisarz, Jan Przybyła, obecnie we Lwowie mieszkający, dziecko hut i kopalni, który, roznamiętniony przyniesionem im tanzym słowem, wyfrunął za nami w pogoni za poezją.

Aż przyszedł i na mnie wielki dzień: miałem prze-

mawiać. Wiele razy później przemawiałem publicznie, zaś wszystko to było razem drobnostką, uwagi niegodną, wobec tego występu, wobec tych ludzi, którzy mają przez życie całe do czynienia ze skarbami ziemi, więc się ich nie zbędzie plewą pięknych słów, ani syropem lirycznym.

Zawieziono mnie tramwajem do Zabrza, gdzie w jakiejś szopie miałem objaśniać Słowackiego.

Omdlewało we mnie z trwogi młodzieńcze serce; chciało mi się płakać z rozpaczy, że nie mam w pierśsiach wulkanu, aby na tych ludzi łaknących i pragnących cisnąć warem ognia, bluzgiem płomienia, rozpalić ich, porwać i unieść z pośród ich wyniosłych kominów i hut jak na wicherze gdzieś na szczyt, niezmiernie wysokiej polskiej góry. Ręce mi drżały, jak uczniakowi, kiedym otwierał książkę, wybijaną brylantami, w której inicjały są malowane krwią i w której każde słowo śpiewa kłaskaniem słowika, albo skwirem orła. A oni siedzą i stoją dookoła w skupieniu, w powadze i w wielkiej, nabożnej, jasnej ciszy. Wpatrzyło się we mnie setki oczu, a w każdym płonie dusza małą, złotą iskierką, którą ja, biedny student, śmieszny, początkujący „literat“ mam rozdmuchać w pożar.

O, Boże, któryś ziemi tej dał węgiel, a ludziom tym napełniłeś piersi przeczystem złotem serc, pomóż mi i napełnij mi płuca wielką potęgą, albowiem do tych olbrzymów, do tych Polaków potężnych inaczej nie można mówić — tylko wichrem!



I Bóg mi pobłogosławił i On, Słowacki. Mówilem, jak mówi ktoś, co potem ma zaraz umrzeć, przedtem jednak ma powiedzieć tajemnicę niezmiernej wagi. Musiało to być bardzo mizerne i nikłe, — mało dziś z tego wszystkiego pamiętam, — lecz to tylko jedno czułem, jak mi serce w piersiach rośnie i chce dobyć z siebie największego krzyku.

We mgle wspomnień z tych czasów dobrze widzę tylko magnetyczne, potężnie patrzące oczy Lutosławskiego i słyszę jego słowa na poddaszu. Moje dziecinne szczebiotanie po tym olbrzymie musiało być pewnie śmieszne, gdyby nie te jasne, uczciwe serca górnośląskie. Bo ci ludzie pewnie nie mnie słuchali, tylko swoich serc: ja im tylko przypominałem coś, co leży na ich dnie, pokryte pyłem i węglowym miałem, zarzucone gruzem trosk, zalane potem wielkiej pracy i trudu, więc jakby o tem wszystkim teraz zasłyszeli zapomnianą wieść, rozdrapywali ostrzem nagłego wspomnienia skorupę i nagle ich coś pewnie ułapiło za gardło ze wzruszenia, kiedy odkryli z rozszerzoną od wielkiej radości źrenicą, że serce ich żyje, żyje jak potężny ptak, zamknięty w klatce. Polskie słowa, jak surmy dzwoniące, opowieść o Polakach umęczonych, wieść o duchach w Narodzie ogromnych, krzyknęła na nich wielkim głosem, jak na śpiących, więc patrzyli zdumieni i radośnie w widmo wymarzone porannego słońca.

Z każdym dniem wydawali mi się więksi ci ludzie, z każdym dniem bardziej byli bliscy duszy, zachwyco-

nej i szczęśliwej. Duch ich wybiegał na drogi, do Polski wiodące, na te drogi proste, po których weszli teraz do Ojczyzny niezliczoną, żywą gromadą, już nie w śnie, lecz w biały, jasny, promienny dzień.

A jeśli te słowa dotrą do Gliwic, czy do Zabrze, niech się rozjaśnią i niech im powiedzą, że ten od lat tyłu zapomniany, śmieszny młody człowiek, który się tam tułał z mizernem słowem swoim, pamięta każdy wśród nich dzień spędzony, każdą twarz uczciwą i każde serce, proste i ze szczerego ukute złota; więcej się wtedy z pewnością nauczyłem od tych serc, niż one odemnie.

---

## ABY COŚ PO NICH ZOSTAŁO...

---

### *Dole i niedole Ludwika Solskiego.*

O Solskim? Właśnie o Solskim... Dlaczego?

Z czytelnikiem wogóle nie powinno się gadać, czasem jednak i czytelnik się zdarzy człowiek zacny i mądry. Temu się odpowiada: Dlatego o Solskim, aby coś po nich zostało.. Nietylko fotografia na Nowym Świecie, nietylko kiepski gips i wspomnienie u dobrych ludzi, lecz i te słowa, pisane po to, aby się młode pokolenie dowiedziało, jak wielka gwardja dochodziła o pół głodzie i chłodzie do szlifów, ile się nacierpiał biedaczyna aktorski, zanim sobie wielkie wypracował imię. Nie tak, jak dziś, oj, nie tak... Dziś jakoś jakoś to idzie łatwiej, prędzej, namiętniej, bogacej.

To, co o Ludwiku Solskim opowiem, to jakby tylko parafraza jednej i tej samej opowieści o wielkich aktorach dawnego autoramentu, nietylko polskich. Wszyscy tak żyli, wszyscy robili w ten sam sposób. Niech, siedzący na uprzejmych gazeciarskich laurach, każdy młody aktor, słowa te czytając, pomyśli, jak to ciężko dawniej było, kiedy była jedna jakaś nieszczęsna gazeta i ca-

łych nie było portek. Ale stare lwy aktorskie jakoś to sobie chwałą. Stare warjaty...

Ile też razy musiałem napisać biografię wielkiego aktora z powodu jubileuszu, lub śmierci, częściej jednak z powodu jubileuszu, niż śmierci, aktorzy bowiem zazwyczaj żyją długo, aktorki zaś nie umierają prawie nigdy, lub przynajmniej dość rzadko, tyle razy głodziłem się przedtem z należytą literacką wprawą, dla wprowadzenia się w nastrój, jaki się odczuwa w czasie przechodzenia tyfusu głodowego.

Albowiem przy kołysce wielkiego aktora, (jeśli taki miał wogóle kiedy kołyskę), stał zawsze głód, mądry stary lekarz w czarnych okularach, bardzo cierpliwy i pedant. Umarł niedawno pocziwina i dlatego aktorowie chodzą teraz na dworskie bale, jeżdżą własnym ekwipażem i przyjmują jedynie srebrne wieńce po poprzednim uważnem sprawdzeniu pieczętki na srebrze. Kiedy jeszcze żył i nauczał aktorskie pokolenie, łąziła po świecie gromada wspaniała i pyszna, z której rok rocznie ktoś ubywa, a nieprzystojną facecję opowiedziawszy przy bramie rajskiej świętemu Piotrowi, włazi do nieba jak na scenę, w pysznej pozie, z jedną ręką na sercu, z drugą zasię w górę podniesioną, tragiczny bardzo.

Patrzy Pan Bóg ciekawie na taką niesamowitą figurę, patrzy i powiada:

— Ha! ha! Jesteś przecie... Nacierpiałeś się, biedaczyno, w Polsce, nacierpiałeś... Nie strój min, bo już po spektaklu, siądźże, panie Leszczyński, a odpocznij.

Wesoło ci będzie, mizeroto, bo jest tu i Fiszer i Królikowski, i Zboiński, jest Ruszkowski i Roman i Trapszo. Niech wam będzie dobrze...“

Niebo sobie uskładało już trupe, niezgorszą, tem szczęśliwszą, że żadnych krytykastrów tam niema, wszystkie bowiem recenzenty w piekle nawzajem oblewają się gorącą smołą; na ziemi zaś mało, och, mało pozostało tych wielkich aktorów, którzy w sakwie włóczęgi dwie zawsze nosili rzeczy szczerozłote: talent i serce. Dziwni ci ludzie, podwójnem żyją życiem, a to drugie, w kiepskim płaszczu królewskim chodzące, owo oszalałe życie z krwawej tragedji i jeszcze krwawszego dramatu, żarło w nich zachłannie ich życie własne. Dawne czasy, dawne czasy!... Trzeba mówić stylem wielkiego nekrologu. Życie tedy nigdy z nimi ceremonji nie robiło, targało, jak mogło i chłostało, jak mogło, a oni — z miną tragedjante i haniebnie, obłudnie weseli, wyświechtanym pióropuszem dziurawy przystroiwszy kapelusz, szli prosto przed siebie, nędzę mając za pazia i zgryzotę za lokaja. (Czytaj „Kapitana Fracasse“ — a uwierzysz!) Ten i ów się zatoczył z głodu i już nie wstał, paru jednak wytrzymało i przecież doszli aż tam, gdzie się przed nimi wszystkie pochyliły głowy. Wśród tych zaś niepożytych, wyniosłych, wspinających aktorów, jakich niema wielu w Europie, w pierwszym rzędzie, wśród pierwszych, stoi chudzina, skromny i nieznacny, Ludwik Solski.

Wielki to jest aktor i jeśliby był Francuzem, cały

świat by o nim wiedział, tak samo o Leszczyńskim, Rapackim, Kamińskim. Radbym tedy jego dzieje opowiedziawszy, ukazać naocznie, że się nie tak łatwo zostaje „panem Solskim“.

Zywot Solskiego przypomina na starą modłę zrobiony wodewil, ze śpiewami i tańcami, w których bohater z głodu śpiewa, a z rozpaczy czasem sobie zatańczy.

Tak ci tedy było.

Ojciec Solskiego (Sosnowski, bo Solski tak się właściwie nazywa), człowiek niesłychanie pocziwy i szanowny, żołnierz z 31. roku, nie bawił się w iluzje.

Przychodzi do niego Solski, całuje w rękę i powiada, że chciałby do teatru.

— A cóż ty, chłystku, będziesz tam robił?

— Hamleta! — odpowiada skromnie młodzieniec, nie chcąc odrazu wyjaśnić tajemnicy, że nawet na większe kroi sztuki, jak „Żyd w beczce“, lub „Podróż po Warszawie.“

— Stołki będziesz ze sceny wynosił... Widzisz go! Hamlet!... — powiada. — Pójdiesz do urzędu!

— Do teatru! — poprawia Solski.

Więc go dobry ojczysko coś niecoś sprął, o czym Solski wprawdzie wyraźnie nie wspomina, informacje jednak w tym względzie mam dokładne.

Nigdy jeszcze nie było inaczej, żeby kto nie został aktorem, jeśli nim chciał być koniecznie. Solski zabiera tedy z domu jakąś imitację garderoby, parę książek i zapomniawszy zabrać ze sobą jedynie ojcowskie błogo-

slawieństwo, zjawia się ni stąd, ni zowąd w roku 1875 w Krakowie. Stał przed obliczem nieboszczyka Koźmiana i zadrżał. Któryż z aktorów nie drżał przed Koźmianem?

— Chcesz grać? 'A cóżbyś ty grał?

— Duże role! — powiada Solski.

Koźmian, nie prorok, nie widzi przeto, że stoł przed nim wspaniały później na teatralnym tronie krakowskim jego następca, wali go przeto łaskawie w kark i powiada:

— Marsz na scenę! Coś tam będziesz gadał...  
Ale, ale... gaży żadnej!...

Jak żadnej, to żadnej... Wielkie rzeczy! Jeśli człowiek w Polsce ma talent, nie po to, aby zaraz zało zjadł obiad. Solski zaś miał nietylko talent, ale i niemożliwą tremę. Zanim wyszedł na scenę, trząsał się, jak galareta, chociaż nie było na tym chudzinie aż tyle ciała, aby można gołem okiem zauważyć to, co mógł zanotować jedynie sejsmograf; że jednak miał tremę, to pewne, bo kiedy dziś, wielki już Solski ma wyjść na scenę, szczególnie w dniu premiery, to się przecież pod nim nogi trzęsą i kiedy nikt nie dojrzy, to się ręką chwyci kulisy. Ta aktorska zмора przetrwała z nim wszystkie biedy.

Grał ci tedy Solski na krakowskiej scenie olbrzymie role, z których najwspanialsza połączona była z przyniesieniem na scenę listu na prawie srebrnej tacy, najtragiczniejsza zaś z ról jego oparta była na motywie:

„Prędeż, jaśnie pani, bo pan hrabia kona!“ Czuł, że z tą tacą i na tej jaśnie pani daleko nie zajedzie więc po cichu, nikomu nic nie mówiąc, uczył się sam. Patrzył na starszych aktorów i pożerał dziesiątki ról, przede wszystkim wierszowych, (młodość lubi rymy!) i — postanowił iść w świat. Świat o owym czasie nie był wielki i rozciągał się od Krakowa do Warszawy, gdzie się Solwski znalazł w 76 roku.

Działo się wtedy tak, że wszyscy dyrektorowie prowincjonalnych „trup“, co jest nazwaniem słusznem i sprawiedliwem ze względu na śmiertelny pierwiastek, tkwiący w tem słowie, — zjeżdżali na lato do Warszawy, gdzie grywali w nieśmiertelnych ogródkach. W takim to teatrzyku, w Eldorado (och! „El dorado“!) przy ulicy Długiej, sprawował rządy głośny podówczas Anastazy Trapszo, założyciel aktorskiej dynastji swego imienia, aktor znakomity. Firmę miał doskonałą i niezgorsze powodzenie.

Trapszo to był zacny człowiek. Patrzy, patrzy, mustruje i powiada:

— Angażuję cię! A ten kto taki?

— Ten? — to kolega Kominkowski...

Z poza Solskiego wysunął się malutki człowieczek, także dezertier z krakowskiego teatru.

— Patrzcie! patrzcie!... mówi Trapszo, — angażuję was obu na tych samych warunkach.

— Na jakich, panie dyrektorze?

— Jakto „na jakich“? — Bez gaży...



Zakręciło im się nieco w głowie i Solski poszedł sprzedać kamizelkę, aby wystąpić godnie w roli aktora z armji Anastazego Trapszy, któremu służyli wiernie przez trzy miesiące, blade z głodu, unęczeniu i smętni. Aże nadeszła katastrofa w formie listu z pana dyrektorską sygnaturą, który oznajmił, że „z powodu wygórowanego budżetu — obaj otrzymują natychmiastową dymisję“.

Solski wpadł w rozpacz, a Kominkowski poszedł do sądu, aby Trapszę „zniszczyć“ procesem. Sąd mirowy jednakże, znający zapewne wiersz z „Beniowskiego“, że — „kto tam odejmie co, ten będzie mądry“ . . . . — odprawił Kominkowskiego z kwitkiem, co miało ten przeraźliwy skutek, że niedoszły bohater upadł we własnej opinji tak nisko, że został w Krakowie dyrektorem jakiejś szkoły. Solski zaś chodził po Warszawie pod rękę z rozpaczą, bardzo już przewiewnie ubrany, albowiem garderoba jego dawno zmieniła właściciela za sprawą żydowinów.

Idzie raz tak ulicą, a tu Trapszo stąpa naprzeciwko z wielką godnością.

— Czegoś ty taki błady, jakbyś z grobu wstał?

— Tak sobie, panie dyrektorze. . .

— Skarżyłeś mnie?

— Nie, nie skarżyłem. . .

— Dobry chłopak jesteś, — powiada pan Anastazy, — jedźże ze mną do Łodzi. Dostaniesz miesięcznie dwadzieścia rubli.

Wpadł na to w szal pan Ludwik Solski. Ujrzał niebo, a aniołowie mrugali ku niemu oczyma. Pocałował Trapszę w ramię i pożywił się radością. Poza tem wychudiy był jak szczapa, tylko mu oczy świeciły niesamowitym blaskiem. Był jednak zawsze ekonomistą znakomitym, gdyż obiad za pięćdziesiąt groszy dzielił umiejętnie na cztery dni i żył jakoś z pomocą Bożą; z tą samą, nie rentującą się pomocą zjechał do Łodzi, gdzie Trapszo rozbił namioty w sali u Selina.

Dwudziestorublowy aktor zaczął nabierać powagi i żył już znacznie stateczniej, mogąc sobie pozwalać na zbytłowne jedzenie objadów nawet co drugi dzień; żył jak hrabia i grywał rólki wcale już, wcale... Miał nawet powodzenie w roli Lejbeła w „Emigracji chłopskiej, chociaż rola ta przyprawiła go o katastrofę i utratę majątku. Pożyczono bowiem do niej na mieście autentyczny „stylowy“ chałat, który oddawano po przedstawieniu, raz go jednak oddano nieco nadpalony, za co Solskiemu obcięto z gaży rubli 8 — słowami osiem.

Ciężko to było bardzo w tej Łodzi, bo co zostało z gaży, to pani dyrektorowa ściągnęła zawsze za opóźnienie się na próbę. Żyło się jednak dziwną jakąś sztuką. Solski mieszkał z aktorem Gorzkowskim, „mrówkojadem“, gdyż nos miał większy od talentu. Salon mieli wspaniały, wprawdzie na strychu, ale za to z okienkiem wprost na niebo, meble oryginalne i stylowe, na trzech zwykle nogach, dwie szklanki, wyszczerbione przez rozpacz i naftową maszynkę, znudzoną w

bezczyнным żywocie. Towarzystwo też było książęce, gdyż obok mieszkaly same aktory: Ruszkowska (siostra Ryszarda), Szelałowska i dwie mamy na dodatek. Trapszo dokazywał niesłychanych sztuk, aby się utrzymać, co mu się udawało długo, aż wreszcie żydy zgnębiły biednego człowieka, bo „ośmielił się“ zagrać w Łodzi. „Żyda w beczie“, popularne podówczas widowisko z Solskim w roli tytułowej. Za ośmieszenie żyda, zniszczono Trapszę; bojkotowano go z małym uporem, tak, że wreszcie Trapszo schronił się ze swym teatrem najpierw do Częstochowy, potem do Piotrkowa, wszędzie jednak szły za nim sztafety z Aliance Israelite, nakazujące bojkot nieszczęśnika. Coraz z nim było gorzej i gorzej, w teatrze zaś jego coraz smutniej.

Oto jest znamienna i nie jedyna w tym względzie karta z dziejów teatru polskiego!

Poczciwe aktory, widząc kłopoty swego dyrektora, rzekły się solidarnie gaży, ufając, że letni pobyt w Warszawie wszystko naprawi. Tym razem osiadł Trapszo w Warszawie w nowo - wybudowanym teatrzyku przy ulicy Królewskiej „Nowa Arkadja“. Ta ci „Arkadja“, jak przed tem „Eldorado“, zwał się tak tylko przez ironję; nowe sztafety nakazały żydom omijać skrętnie teatr Trapszy i to wreszcie — niestety — zrujnowało Trapszę ostatecznie.

O, jakżeż historia teatru polskiego się powtarza... Najpierw „Żyd w beczie“, potem „Geldhab“, potem „Złoty cielec“, potem „Bolszewicy“. Ale już się skoń-

czy terror, już dziś prawie nic nie obchodzi nikogo, czy żydzi zbojkotują sztukę, czy nie.

W owym czasie głód był dyrektorem „Nowej Arkadii“ — nędza reżyserem; wisiał nad tym teatrem cichy smutek dogorywającej instytucji, przygasł zapal, niczem nie żywiony. Materjalne stosunki były okropne. Solski dostał na ten przykład dwadzieścia cztery ruble gaży za cztery miesiące. Całemi dniami wałęsał się głodny, ledwo trzymając się na nogach. Nieszczęśliwa gromada aktorska po cztery dni nie miewała nic w ustach, a poczciwy Trapszo, nic na to poradzić nie mogąc, patrzył z rozpaczą.

Rodzina Trapszów składała się z sześciu osób: z pana Anastazego, pani dyrektorowej, dwóch synów i dwóch córek, Tekli i Ireny, głośnych dziś aktorek. Głód połączył Solskiego przyjaźnią z młodym Marcelem Trapszą, obaj go oszukiwali, Solski deklamacją i śpiewem, tamten grą na skrzypcach. Najmłodszy Trapszo spełniał wobec nich rolę kruka, przynoszącego pożywienie prorokom; wychodził kędyś na łąki i przynosił niewiadomo skąd, coś takiego, co przy dobrej woli i uciążliwych staraniach, można było zżuć.

Starszy Trapszo szukał na gwałt ratunku, spadł jednakże z deszczu po rynnę; chcąc się bowiem wyzwolić z opresji żydowskiej, popełnił u schyłku życia kapitalną niewłaściwość, wystawiając sztukę p. t. „Zdobycie Ardachanu“, sztuka ta zaś, do której tematu zaczerpnięto z wojny rosyjsko-tureckiej, była gloryfikacją armji

rosyjskiej. Niezadowolenie i cierpkie uwagi krytyki, spowodowały niechęć polskiej publiczności i oto od dnia tego rozpoczął się stanowczy zmierzch teatru Anastazego Trapszy. Nie dziw przeto, że pewnego dnia zaszebrała aktorska gromadka wiadomością, że ich pocziwy i zacny władca „dał nogę“, mówiąc żargonem tragicznym. Wydłużyły się wszystkie twarze, w oczach zamigotał niepokój; najdotkliwiej odmalował się on jednakże na obliczu p. dyrektorowej, której rozpacz z początku w wielkim tragicznym stylu, zmalowała powoli do zwyczajnej złości t. zw. „familijnej“.

Jednego dnia woła pani dyrektorowa Solskiego i powiada: — Musimy po niego jechać!

— Bardzo słusznie, — rzecze Solski, — ale cóż ja na to poradzę? Mam wprawdzie trzy kopiejki, ale w Banku Angielskim.

W rezultacie pojechał omnibusem na Gęsią, na żydy, gdzie się odbyły olbrzymie transakcje finansowe, przy których Solski wystąpił ze znakomitem powodzeniem w roli zaprzysiężonego znawcy starej garderoby, i kwitów lombardowych. Z kolei trzeba było przysposobić panią dyrektorową do drogi do Krakowa, w tem miejscu pani dyrektorowa ułożyła nogę na krześle z rozdzierającym i rozdartym okrzykiem:

— Oto jak idzie przez życie wasza dyrektorowa!

Spojrzał Solski i zdumiał. Z czegoś takiego, co w napadzie delirycznego humoru można było nazwać bukiem, wyglądał na świat, niczem nie okryty wielki pa-

lec królewskiej nogi. Solski zadumał się filozoficznie, ale że był to reżyser urodzony, który nie daremno później na całą Polskę zasłynął, chwycił szczotkę, czernidło i przywiódł do barwy czarnej nie tylko szczątki bucika, lecz i autentyczny palec, aby trudniej było poznać.

W teatrze zapanowało bezkrólewie, podczas którego nędza żywiła głód. Wrócił wreszcie dyrektor, aby oznajmić przerażonym aktorom, że teatr zwija. Rozpoczął się sądny dzień, podczas którego przeżyć musieli jeden z najtragiczniejszych „spektaków“, sprzedawania przez licytację teatralnych rekwizytów i patrzeć przez łyzy, jak żydzi kupują ukochane ich dekoracje. Sprzedano tedy pałac królewski z dwunastoma marmurowymi kolumnami za dwa ruble siedemdziesiąt kopiejek, wiecznie zaś zielony las bukowy za trzy ruble. Tego dnia zakończył się smutnie żywot jednego z pierwszych teatrów prowincjonalnych i rozpoczął koniec swój człowiek nieugięty, wysokiej kultury, człowiek dobry i zacny, pierwszorzędny reżyser i informator, na którego młodzież aktorska z niekłamanym patrzyła szacunkiem.

Choćby jako epitaphium dla tego teatru, warto było napisać te przydługie jego dzieje.

Ale Anastazy Trapszo nie dał się tak łatwo połączyć z życiem, życie bowiem zwykło mieć jaki taki szacunek dla dyrektorów teatru, ale zbankrutowanych. Wypłynął później z pod wody, w której go los pogrzyżył; na razie jednak z gruzów jego teatralnej świątyni zbudowali nowy, trzęsący się gmach pasierb Trapszy Bo-

Ięsiaw Krymski i Hipolit Wójcicki, zacny, dobry człowiek, który był później sekretarzem teatru krakowskiego i którego serdecznie lubiłem. Umarł niedawno. Zorganizowawszy trupę, powieźli ją statkiem po Wiśle do Płocka. Noc, podczas której odbyła się wyprawa, należała do nocy makbetowych; natura, dobry reżyser, jakby wiedząc, że do przeniesienia aktorów późną jesienią przez Wisłę, wymagana jest oryginalność dekoracji i wybór efektów, urządziła spektakl pierwszej klasy, z wyciem wichru, z deszczem, nielitościwie siekącym, z zalewem fal, „burzą“ szekspirowską, jednym słowem, — lecz artystycznie nieumiarkowaną, tak, że biedny Solski wyszedł z wody cało, dzięki szczególnej opiece boskiej, dla której młode aktorskie życie zbyt małą wówczas przedstawiało wartość. Dobili jakoś do brzegu, na połę żywi i przezimowali w Płocku, nie bardzo podłem mieście, lecz tak gościnnem, że można było nie umrzeć odrazu. Umierali tam za to powoli, systematycznie, na raty, co czyni człowieka odpornym i świetnie do aktorskiego przysposabia stanu.

Trochę im radości i nadziei przyniosła wiosna, łaskawa panienska. Zaledwie jednak bzy puścili, puścił się i Solski w podróż, zwiedziawszy się, że jego pierwszy maestro, Trapszo, kładzie znów zdrową głowę pod ewanjelję w Kaliszu, gdzie sobie, biedaczysko, łamie głowę i targa duszę, byle nie rzucić umiłowanego całym sercem zawodu i byle tylko przebywać w tem fałszywym królestwie nie z tego świata. Zacny Trapszo grał

tam, jak mógł i co mógł, nie musiało się tam jednakże przelewać, kiedy Solski przenosi się w krótkim czasie do trupy Puchniewskiego. Objechał z nim kolejno wszystkie miasta prowincjonalne, letnią porą zaś przebywali starym aktorskim zwyczajem — w Warszawie. Tam znalazł się Solski w 1882 roku w teatrzyku Bellevue. Trzeci to już warszawski teatr, który się tak ironicznie ładnie nazywa. Solski miał już mir u swoich, najbardziej tępy bowiem dyrektor poznał, że w tym chudzinie siedzi coś niezwykłego. Pracowitość Solskiego już wtedy była przysłowiowa; niezmordowana energia, szczególnie w pracy nad sobą samym, imponowała aktorskiemu zrzeszeniu, które z natury już jest leniwe i która zbyt często gra hrabiów i książąt, aby i w życiu potem nie pozwolić sobie hrabskie manjery. Zapracowany podówczas i do tego na głodno, Solski zdumiewa wszystkich ostatecznie podczas tego warszawskiego pobytu, kiedy ni z tego, ni z owego zaczyna się uczyć śpiewu, jakby mu było za mało aktorstwa.

— Ma chłop fijoła! — mówiły z przekonaniem aktory, co w barwnym aktorskim języku oznacza niepotrzebne ukwiecenie głowy, popularnie zwane obłąkaniem lub kołowacizną. Solski jednakże nie miał „fijoła“ tylko pierwszorzędny głos tenorowy, którym się od razu zachwycał głośny swego czasu profesor śpiewu Aleksandrowicz.

— A ucho pan masz — pyta Aleksandrowicz.

— Mam dwa! — rzecze Solski.



— To i dobrze... — rzekł profesor i począł uczyć Solskiego, który go zdumiał swoją, podziwu godną muzykalnością. Niedługo zaczął zbierać owoce swego „tenorowego“ pomysłu. Traf chciał, że Podwyszyński, aktor dobry i doskonale zapisany w pamięci Warszawy, Lwowa i Krakowa, szukał właśnie tenora na poznańską scenę. Usłyszawszy Solskiego, angażuje go natychmiast jako artystę „do opery, operetki, dramatu, komedji i reżysera“. I oto Ludwik Solski, dziś luminacz dramatu, śpiewa w Poznaniu w roku 1882... Jontka w „Halce“. Albo ludzie onego czasu byli przygłusi, albo się cudy działy, bo oto ten człowiek śpiewa wszystkie większe partje tenorowe, śpiewa w operetce, którą równocześnie reżyseruje i gra role dramatyczne. Powodzenie ma wyjątkowe, choćby dlatego, że zdumiewa wszystkich niesłychaną swoją wszechstronnością. Gażę pobiera ogromną — 350 marek miesięcznie.

Czuje jednak, że nie jest w swojej atmosferze; operę i operetkę pokonywa bujną wszechstronnością talentu, to go jednak nie porywa i nie daje mu artystycznego zadowolenia. Szuka siebie, wiedząc jednak o tem, że w takim rozgwarze repertuarowym, jaki panował wówczas na scenie poznańskiej, nie będzie miał nigdy sposobności ujawnienia tego, co w nim się żarzy, więc wraca tam, gdzie zaczął — na scenę krakowską, do Koźmiana. Koźmiał płacił mało; zamiast 350 marek Solski dostał 70 guldenów, to jednakże co dać potrafił szanowny ten i czci wielkiej godzien dyrektor, było dla

młodego aktora nie do opłacenia. Solski tedy bez szerniania godzi się na wszystko, byle tylko zostać w Krakowie, gdzie się rzucił w wir pracy, nasłuchając z nabożeństwem tego, co powie Koźmian. On zaś kształcił doskonale, metodycznie, rozpoznawał skalę i rodzaj talentu, nie paczył i nie krzywił, lecz wzmagał i pomagał rość.

Solski począł też rość nadzwyczajnie. Trzy lata koźmianowskich nauk nauczyły go tego właśnie, czego potężnemu temu talentowi było potrzeba, aby się uformować i zacząć żyć z artystyczną ekonomją. Wtedy to jednak Koźmian począł mieć już dosyć Krakowa. Kraków słynął zawsze z tego i wytrwale utrzymuje się zawsze w tradycji uniemożliwiania życia ludziom, którzy cokolwiek wyrosli; z dniem każdym piętrzone przed Koźmianem coraz większe trudności i z każdym dniem mu było gorzej, tak, że wreszcie rozgorączony, szczególnie stanowiskiem prasy, która widząc w nim lidera politycznego, nie chciała widzieć znakomitego dyrektora teatru, ustąpił.

Rozpoczął się schyłek starego teatru na Szczepańskim Placu, na Placu bowiem św. Ducha rósł już nowy, w porównaniu ze starą rudera, wspaniały i monumentalny gmach Teatru im. Słowackiego.

Solski trwa nieprzerwanie, coraz głośniejszy i z każdym dniem coraz bardziej popularny i przygotowuje się gorączkowo wraz ze wszystkimi do przeprowadzki na nową scenę.

Otwarto ją późną jesienią 1893 roku, wybierając na jej kierownika Tadeusza Pawlikowskiego. Gdyby się rozejrzeć po literackim ówczesnym obszarze, nie można było wynaleźć człowieka, tego stanowiska godniejszego. Entuzjasta teatru, znawca jego wytworny, subtelny i głęboki, choć przekorny ironista w stosunku do natarczywości codziennych, przygotowany był do tego sta: owiska, jak nikt inny; umysł szeroki potrafił w lot pojąć wszystkie krążące po literaturze prądy i uczynił ze swojej sceny arenę duchową, do której miały przystęp wszystkie jej objawy, bez względu na to, w jakim stosunku się wyrażały do form znanych i uświęconych. Jedno było może niepożądane: mroczne przywileje, jakie zawsze w teatrze swoim Pawlikowski przyznawał chłodnej, ponurej lub niesamowitej twórczości dramatycznego północnej, która się panoszyła ze szkodą południowego teatralnego słońca. Człowiek ten jednak nie zwracał uwagi na nic, jedynie na nieskazitelną rodowodu sztuki. Szedł wówczas nowy wiew po literaturze, i Pawlikowski zjawił się w sam czas swym umysłem, czułym jak sejsmograf.

Wielkiej pracy Pawlikowskiego asystował od samego początku Solski, związany z nim przyjaźnią i powołany już w drugim roku dyrekcji Pawlikowskiego na stanowisko głównego reżysera sceny krakowskiej. Jak jeden szlachetnie planował, a z jaką pełną energją drugi to wykonywał, o tem głosi sława tego teatralnego okresu, o którym się mówi, jak o „wieku złotym“. Z czasów

tych zostały Solskiemu wspomnienia ról, po których aktorstwo członka trup prowincjonalnych i śpiewaka operetkowego, pana Ludwika Solskiego, określone zostało jako — genialne. Role Solskiego szekspirowskie, potem Borońskiego w „Sieci“, w dramatach Przybyziewskiego, Zapolskiej, nieporównana rola krawca w „Hanusiu“, cudowny drwał w „Zaczarowanym Kole“ („Wiedziałem, żeś genialny, przyjacielu, alem — nie marzył, abyś był aż tak wspaniałym drwalem“ — pisał rozradowany Rydel) — oto niedokładnie zanotowane zdobycze aktorskie Solskiego, który w odpowiedniej atmosferze, w zespole, nie mającym wtedy sobie równego pod kierunkiem człowieka, umiejącego, jak nikt inny, pielęgnować talenty aktorskie, wyrósł na potentata.

Lwów olśniony nazwiskiem Pawlikowskiego, powołał go w roku 1900 na stanowisko dyrektora wspaniałego nowego teatru, chcąc i u siebie stworzyć tę subtelną artystyczną atmosferę, którą Pawlikowski orzeźwił stęchłe krakowskie powietrze; że zaś i Solski wszedł za Pawlikowskim na scenę lwowską — był to wjazd triumfalny części zespołu krakowskiego, który się zełknął we Lwowie z towarzystwem równie świetnym, lecz sierocem, opiece własnych talentów powierzonym, wśród którego były także złote nazwiska, jak: Gostyńska (umarła — cudna, nieodżałowana staruszka, „Ciocia Anna“), Fiszer (umarł), J. Chmieliński, Żelazowski, Feldman (umarł), Walewski, z młodych Adwentowicz i Nowacki. Razem z nimi zebrani aktorzy krakowscy,

wśród których byli oboje Solscy niezrównany Roman (umarł), Kamiński, Popławscy, Bednarzewska i Wojnowska (umarła) — stworzyli trupę, jakiej stanowczo podówczas nie mogło być w Europie.

Był to przepyszny okres teateru Iwoskiego. Mieszkałem podówczas na galerji, schodząc jedynie na krótki czas, aby sprzedać grecką gramatykę i pójść znowu na galerję na „Mieszczan“, lub „Rosmersholm“.

Solski był gwiazdą tego zespołu, jego duszą i głową, jako reżyser, do rozpaczy pracowity, chory na ciągłą gorączkę pracy, stwarzał za subtelną inicjatywą takie spektakle, że żał bierze, czemu nie było sposobu utrwalenia ich, jako najlepszego teatralnego elementarza; takim nieporównanem przedstawieniem była reprezentacja „Mieszczan“ Gorkiego z Solskim w roli Ptasznika, „Wesela“, „Dramatu Kaliny“, z wielkim tym artystą w roli filozofa Tyn-dy-ryndy, wszystkie dramaty Przebyszewskiego, a przedewszystkiem „Zimowa opowieść“ i „Wieczór Trzech Króli“, z Solskim jako Chudogębą. Chudogęba jest arcydziełem Solskiego. Pan Andrzej jest dobrym, głupim i kochanym człowiekiem; jest to straszliwy rycerz z gołębiem sercem, a mózgiem wróbla, jeden z najmilszych szekspirowskich wesolków, wcale nie karykatura człowieka, lecz wesoły sen, urodzony z oparu wina; wolno też aktorowi, którego rola pasowała na tego wspaniałego rycerza, uczynić z jego postaci dziwowisko; Szekspir nie dopuści, aby fantazja aktorska uczyniła krzywdę panu Chudogębie, lecz po-

może tej fantazji, podszeptując mu wszystkie nieporównane powiedzenia Chudogęby. Fantazja niektórych (zawsze wielkich) aktorów, grających sir Andrzeja, maluje nieraz jego haniebnie chudą, gębę mgłą smutku, na znak, że pan Andrzej posiada w chwilach jasnowidzenia tragiczną świadomość blazeńskiego swego stanu. Smutek ten, mający upodobnić sir Andrzeja do rycerza „smętnego oblicza“, jest rodem z angielskiego teatru i ma pogłębić tę postać, która „nawet za czterdzieści talarów w sakiewce“, nie chce być inną, niż jest.

Inną też nie jest, kiedy ją wyobraża Solski; Szekspir by się uradował na widok tej postaci, przebiegającej scenę w zwarjowanych podrygach, dobierającej z gardła kogucich bulgotań, co ma oznaczać śmiech, buńczucznej, jak głupi indyk, kręcący się, jak fryga. Sir Andrzej Chudogęba wyprawia swoje skoki u stóp wzniesienia, na którym Viola i książę Orsino mówią równocześnie cudne swoje słowa o miłości, w dziwny ten bowiem wieczór płaczą się ze sobą rzeczy najniemożliwsze, wedle drugiego tytułu komedji, „czyli — co chcecie“. Wolno więc Chudogębie wyprawiać, co mu się podoba ku zabawie i naszej i tych rozżęsknionych kochanków, których miłość wysoko się unosi nad tem pijackiem zgromadzeniem, tem snadniej bowiem Chudogęba, ofiarę ze swej rycerskiej czyniąc dostojności, przysłuży się anielskiej powadze miłości tych dziewic i książąt, co się — jak w bójce pomieszali z towarzystwem śmiesznych rycerzy, głupich intendentów i wrzaskli-

wychi opojów. Solski Chudogęba króluje w tem towarzystwie, w najprzedniejszy ów cudowny szekspirowski zbrojny humor, który rozbraja i raduje swoim pysznym, nieoczekiwanym grymasem blaznujących filozofów życia. Rzeźwość tego humoru jest tak rozbrajająca, że się czuje lepiej i zdrowiej po wysłuchaniu „Wieczoru Trzech Króli“, kiedy Solski właśnie wydobywa ten humor z nieśmiertelnej komedji i rzuca na widownię, nie pozwalwszy, aby najmniejsza jego cząstka pozostała przez zapomnienie w kulisach; o żadnej też nigdy nie zapomina, wszystek śmiech, jaki jest w scenach komedji, w których sir Andrzej wrzask największy czyni, Solski oddaje teatrowi na pokrzepienie. To też jeszcze nie było wypadku, aby nie oklaskiwano każdej z osobna sceny, w której chociażby dwa słowa miał do powiedzenia sir Andrzej Solskiego.

Ta rola Solskiego jest wesołą granicą tej olbrzymiej skali, którą obejmuje fenomenalna zdolność aktorska Solskiego; druga jej granica, to ostatni wyraz tragiczności, jaki wogóle człowiek z siebie „wygrać“ może. Są bowiem, jak wielcy lekarze specjaliści, taksamo wielcy aktorzy-specjaliści, talent zaś Solskiego w owym czasie z każdym dniem potężniejący objął wszystkie możliwe sceniczne działy, dawno bowiem nawet farsa, pusta i mdła farsa francuska, nie miała takiego wykonawcy, jakim jest Solski, który w czasie pobytu na scenie lwowskiej ofiarował farsie w podarunku takie figury, ja-

kim było słynna przez niego jedna z ról w farsie pod tytułem: „300 dni“.

Solski rozwinął we Lwowie działalność ogromną; przede wszystkim czynił to, co w pierw niezmordowanie czynił w Krakowie — uczył. Uczył wszystkich niesłychanie cierpliwie, gotów sto razy z rzędu powtórzyć z aktorem „kwestję“ aż ją przecież doprowadził do najlepszego wyrazu; miał zawsze czas na wszystko, przede wszystkim zaś na dawanie dobrego przykładu, na co potrzeba czasu najwięcej. Przygotował najpierw wszystko do najdrobniejszego szczegółu, potem dopiero zaczynał pracę swoją i był zawsze — najlepiej przygotowanym. Prawie sześć lat, które spędził we Lwowie, do roku 1905 sprawiły, że nazwisko jego zajaśniało w teatrze polskim niewymownym blaskiem, kiedy więc wolną się stała „posada“ dyrektora na krakowskiej scenie, głos powszechny wezwał Solskiego jako jedyne, który jest godnym zaszczytne tego stanowiska.

Przyjęto go w Krakowie z radością, chociaż smętne to miasto, chore na manję wielkości i cokolwiek na wątrobę, nie zbyt do radości jest skore. Solski zabrał cztery pary butów, z których trzy „stylowe“, jedna zaś do użytku dziennego, parę koron królewskich i kilka tysięcy pożyczonych — cesarskich, kilka peruk i cały wagon zapłału i z tem pojechał na rzędy krakowskie. Znał teatr krakowski na wylot i na wylot znał publiczność krakowską, której wiele można zarzucić, nie można w niej jednakże nie uznać poza tem bardzo nie-



szczerzej poży na dostojność i powagę. Koźmian i Pawlikowski pracowali nad tem przez dziesiątki lat, aby jej nauczyć wiary w „narodową sztukę“ i udało im się to sprawić przynajmniej, że publiczność krakowska szanuje do dziś dnia tradycję t. zw. „wielkiego repertuaru“ i choć radaby dusza do kabaretowego raj, nie wypada jej inaczej. Miasto Wyspiańskiego gra z powodzeniem komedję dostojności. Solski postanowił święcie, utrzymać tradycję krakowskiego teatru i ani razu, przez czas swych rządów jej się nie sprzeniewierzył.

Motywy przewodnim rządów krakowskich Solskiego był kult dla twórczości Wyspiańskiego, tego teatru patrona, to też świętem tego teatru były niezapomniane przedstawienia „Nocy listopadowej“, „Cyda“ i „Legjonu“. Do wystawienia wielkiego tego dzieła przedewszystkiem, trzeba było wielkiej wiary w siebie i pewności, tej właśnie, którą miał Solski, że każdy jego aktor duszę z siebie odda, by można tylko przez to rozślawić w Polsce chwałę krakowskiej sceny.

Podczas przedstawienia „Legjonu“ widziało się, teatr krakowski w jednym zgodnym, pysznym ruchu, na tle prześlicznych dekoracyj, imponujących wiernem odtworzeniem, pomysłowością i barwą. Był to jednak szczegół drugorzędny wobec wysiłku sztuki reżyserkiej Solskiego.

Niezapomnianą zasługą Solskiego wobec krakowskiego teatru było to, że w teatrze tym mieszkała zawsze twórcza dusza, choć ciało było wymizerowane. Teatr

ten wyglądał zawsze wobec innych wielkich teatrów jak cicha, błogosławiona pracownia wobec wielkich fabryk, wysokie mających kominy i wiele z nich dymu w niebo wyrzucających, fabryk, pełnych rozgwaru i dzwonienia, z urzędniczą hierarchją w ustroju. A jednak w żadnej z tych bogatych siedzib nie pracowano tak, jak się zawsze pracowało w teatrze krakowskim, z wyjątkowym zaś uporem za czasów Solskiego. Zduniewał wtedy teatr ten bogactwem rezultatów przy środkach mizernie skromnych.

Najlepsze lato swego życia oddał Solski Krakowowi, a pracował tak, że każda premiera krakowska była zdarzeniem na całą Polskę głośnem. Drugim takim po „Legjonie“ przedstawieniem na wspaniałą miarę, była premiera „Judasza z Kariothu“ Rostworowskiego, wobec którego Solski odegrał rolę pieczołowitego opiekuna. Dramat ten, poza tem, że dał Solskiemu niezrównane pole do pysznych pomysłów reżyserskich, dał mu sposobność również do stworzenia roli, którą Sichulski uwiecznił w obrazie, tradycja zaś ją zachowała w najdalsze aktorskie pokolenia. Solski jako „Judasz“ wyrzucał z piersi nie słowa, lecz kawały serca, każdy zaś drgający bólem i dotkliwą rozpaczą. Genjalny aktor wyblagał u widza litość dla nieszczęsnego człowieka, którego się niebo wyparło, a ziemia przyjąć nie chce.

Trzebaby napisać długą, obszerną kronikę teatralną, czem się jakiś historyk teatru zajmie, aby wysławić ówczesną pracę Solskiego. Ja mimochodem poświęcę

tylko słów kilka stosunkowi Solskiego do Nowaczyńskiego, wobec którego Solski odegrał rolę Sary Bernhardt wobec Rostanda i równocześnie Coquelina wobec Rostanda. Z ogromnym talentem dramatyzowane kroniki Nowaczyńskiego bez Solskiego zostały by w książce, świetność ich, błyszcząca i snopami ognistemi wybuchająca, zostać musiała by pod korcem. Rzadko silniej objawia się aktorska współtwórczość z poetą, niż w tym wypadku. Obaj, autor i aktor mają i prawa i obowiązki wdzięczności: Solski zawdzięcza Nowaczyńskiemu nieporównane role, Nowaczyński Solskiemu wykonanie ich takie, że o lepszem pomyśleć niepodobna, Obie te role, Dymitr Samowaniec i Fryderyk Wielki należą do najpopularniejszych w reperturze Solskiego, pierwsza przez swoją barwność, druga przez mistrzowskie skupienie. Ta druga szczególnie jest arcydziełem bez konkurencji i w niej to właśnie wielki aktor na wygiętych w kablak plecach dźwiga w górę wielką kronikę dramatyczną. Solski, jakby nagle skarłały, mistrzostwem swej charakteryzacji zmieniony w żywego trupa, w którym się już dawno wypaliło serce, a tylko mózg gorączkowo płonie, czyni wrażenie niesamowite. Solski zrodził jakąś postać piekielną, równocześnie niezwykłą i niecodzienną, przejmującą dreszczem.

Solski jest wielkim aktorem wbrew przepisom Diderota, oddaje bowiem siebie całego na pastwę roli; spala się w niej i stąd pochodzi ta wiara w przeżycie sceniczne Solskiego. Gra Solskiego jest wyteżoną pra-

cą wszystkich nerwów i wysiłkiem serca; jest ciężkim, wielkim trudem i po każdej jego roli odnosi się wrażenie, że się ten człowiek podniósł po ciężkiej, męczącej chorobie. Znekany, gotów jest w tejże samej chwili ogromną siłą woli zmusić się do energii i gotów na nowo rozpocząć grę, byle go tylko światło lampy wprawiło w to gorączkowe odurzenie, jakie wywołuje silny środek medyczny. Widziałem, jak szalony ten człowiek grał „Judasza“, więc rolę wycieńczającą i szarpiącą nerwy raz od godziny trzeciej popołudniu do siódmej wieczorem i od ósmej wieczorem po raz drugi do dwunastej w nocy.

Sam chory na pracowitość, furjat pracy ma jedną ciężką wadę: oto chciałby, aby tam, gdzie on jest, pracowali tak samo wszyscy od rana do nocy. Widziałem próbę z „Legjonu“, która trwała od jedenastej w nocy do szóstej rano, a skończyła się dlatego tylko tak... wcześniej, gdyż aktorzy mdleli ze zmęczenia.

I tak pracuje do dziś, zaś młodzież zdumionemi patrzy na niego oczyma. A on tak bez przerwy, przez lat kilka dziesiątków, kiedyś o chłodzie i głodzie, gdyż nie mu lekko w życiu nie przyszło, dziś w wielkiej sławie, na którą pracował krwawo. Dlatego pokazałem te drogi ciężkie, po których szedł, aby młodość aktorska ujrzała, jak się do sławy dochodzi. Chudy, zbiedzony aktor z głodnej trupy Trapszy zaciał zęby i szedł przed siebie, zapatrzony w sztukę i doszedł do tego, że go Wyspiański na wieczną wielkiej sztuki pamiątkę wymalował we

wszystkich wielkich jego rolach. W galerji tej portretów jest jeden najpiękniejszy: to Solski, jako stary wiarus w „Warszawiance“ Nikt go tak, jak Solski nie grał i nikt chyba nie zagra; zostanie w pysznym portrecie. Portrety te, to świadectwo wielkiego poety o wielkim aktorze.

---



## LISTY ZE LWOWA.

---

### I.

Pokorna skrucha. — Drobiazgi dla kronikarza — Imitacja teatru — Rozpacz. — Dzieje wojennego teatru. — „Pan policmajster Tagajew”. — Znowu „Halka”? — Teatr jest i będzie. — Austryackie gadanie.

Najmilszy! List ten pisze do Ciebie pokutnik, pokornie win swoich żałujący, człowiek niewdzięczny, który pokornie grzechy swoje wyznaje, człowiek przytem szczęśliwy, któremu winy jego przebaczone. Oto wczoraj przyjechałem do Lwowa, po siedmiu latach nieobecności. Dusza się rwała, i jakoś, psiakrew, tak się składało, że nie było sposobu. Skończyło się, wstyd i hańba, na wierszyku, literackim, podłym zwyczajem. Lwów jednak nie dlatego tylko jest najcudowniejszem miastem na świecie, że „lew mieszka w sercu tego giau-  
ra“, lecz i dlatego, że mieszkają w nim ludzie najlepszego serca; zapomną i przebaczą. Przyjechałem ze wstydem, głębę chowam w kołnierz paltota, a oni w krzyk — serdecznie, wesoło, z radością. Takie to już ludzie najmilsze.

Najlepiej będzie, jeśli w porządku chronologicznym opowiem moje ze Lwowem rozstanie i moje przywitanie; wiele szczegółów z okresu rozstania będzie jako kamyczek w historycznej mozaice. Burzliwe czasy ówczesne przewały się jak fala morską na wicherze, wśród zgiełku i wrzawy, więc nikt nie pamięta o drobiazgach, które jednak zapamiętać potrzeba; potem wszyscy byli bardzo zdenerwowani, wydawali sądy pośpieszne i niesłuszne.

Otóż to było tak:

Kiedy Moskwiciny zajęły Lwów, byłem gdzieś na Litwie, wszystko zaś moje było we Lwowie. Trzeba było wracać. Z niezmiernym trudem dostałem pozwolenie, specjalnego zaś urzędnika, który znał język polski unieszczęśliwiono nakazem przeczytania wszystkich moich książek. Urzędnik przeczytał i uznał, że „Rzeczy wesołe“ nie grożą spokojowi armji rosyjskiej i że mogę wrócić. Wróciłem i biedowałem, jak inni. O tych czasach wie się wszystko dokładnie, więc wspomnę tylko o sprawach, które mnie blisko obchodziły, a są nieznanne.

Ustęp ten można zatytułować: „Komedia o człowieku, który był podczas wojny dyrektorem teatru“. Wspaniały teatr lwowski był zamknięty, bo połowa aktorów z dyrekcją była na wygnaniu w Wiedniu, teatru nie można było opalić, zresztą nędza była wielka i teatr był na ostatnim planie. Niedobitki założyły „nowy teatr“ w jednej z sal koncertowych. Repertuar był to groch z kapustą, niestworzone pomysły, kawały pierw-



szej klasy; grano dramaty, operetki, robiono wkładki deklamacyjne, muzyczne, taneczne, co kto chciał. Ponieważ primadonna umiała tylko jedną piosenkę, więc przez parę miesięcy, słyszałeś tylko tę nieszczęsną „Matinatę“, tenor sto razy śpiewał „Jeszcze jeden mazur dzisiaj“ i „Aeroplan“, tak, że się nawet najdziksze kozaki nauczyły ich na pamięć. Był to jednak teatrzyk miły bardzo, jak mała szklana kuleczka, w której przechowywano na lepsze czekając czasy, tajemnicę sztuki. Już to się Moskalom nie podobało i temu teatrzykowi robiono wstręty. Całe szczęście, że policyjny ówczesny władca Lwowa, był to łapownik i musiał mieć inne zmartwienia, bo byłby mógł to kochane chuchro zgłębić. Teatrzyk jednak jakoś trwał i miał ogromne powodzenie. Boże! W żadnym najwspanialszym teatrze nie siedziałem na moim krytycznym fotelu z taką dumą, jak w tym teatrzyku. Pisałem sumiennie feljetony, jakby to były Rozmaitości i jakby się nic nie zmieniło, feljetony długie i sążniste o największych bredniach, ponieważ zaś krytyk muzyczny mojego pisma zwiął do Wiednia — pisałem sprawozdania o operetce i szczęśliwy byłem, jeśli mi się udało zrobić dowcip i wywołać uśmiech u biednych, wygłodniałych, zziębniętych ludzi. Nigdy też żaden krytyk nie utrzymywał bliższych stosunków z wnętrzem teatru, niżli wtedy właśnie ja i moi koledzy.

Przedstawienie ma się rozpocząć o siódmej, — o ósmej niema jeszcze nic.

Wpadam za „kulisy“, zrobione z dwóch parawanów.

— Dyrektorze! na Boga, już ósma...

— Cóż, kiedy nieszczęście...

— Co się stało?

— Amanta zaaresztowali.

Trzeba było robić starania, żeby uwolniono amanta, tymczasem zaś primadonna śpiewała „Błyskają złociste promienie“, a tenor „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...“

I tak było co dnia; kogoś aresztowali, kogoś wywieźli, cenzura grać nie pozwoliła... Mój Boże! jak ciężko się było weselić!

Tymczasem teatr wielki stał pustką, dostojny i majestateczny. Wszelka hołota z tulskiej i astrachańskiej gubernji patrzyła na ten gmach z podziwem i zawiścią; czuło się, że ten gmach piękny i tak „wspaniale odosobniony“ drażni zachłanność okupantów. To też z przerażeniem wysłuchaliśmy jednego dnia ostrzeżenia, że opera kijowska czyni usilne starania, aby przyjechać na stagię do Lwowa i zająć gmach teatru. Zimno się wszystkim zrobiło... Zrobiło się jeszcze zimniej, kiedy stało się wiadomem, że armja rosyjska chce w teatrze urządzić szpital lub skład intendenty. Rozpacz zaczęła biegać od aktora do aktora, od pisarza do malarza i wyć, jak pies. Wszelkie domysły na ten temat kończyły się refrenem:

— Niedoczekanie wasze!

Rozpoczęliśmy tedy „długie nocne rodaków rozmowy“ i stało na tem, że trzeba w tej chwili otwierać teatr i grać, bo jeśli nie zajmą go prawi właściciele, to będzie nieszczęście. Prezydent miasta ułatwiło wszystko, zachęcało serdecznie i oto jednego dnia stałem się urzędnikiem magistrackim i zostałem mianowany naczelnym kierownikiem dramatu, ktoś inny zaś kierownikiem opery. Było to w maju 1915 roku.

Kierować — dobrze, ale czem kierować? Teatr wielki, ale czem go zapełnić, co grać i z kim? Nie takie jednak cudy działy się we Lwowie. Lwów jest takim miastem, że gdyby było trzeba nie tylko uruchomić teatr, ale przez noc go zbudować, rano byłby już teatr. Cholery — nie ludzie. Powie sobie taki:

— Tyjater? Ta joj! czemu nie? — i sprawa skończona.

Gdyby Lwowianin budował warszawskie Rozmaitości, jużby był to zbudował dwa razy, a trzy razy obronił.

Będziemy więc robili teatr.

General-gubernator skrzywił się, ale podpisał zgodę swoją na otwarcie teatru. Był to cywilizowany staruszek i bardziej dbał o swoje cukrownie na Wołyniu, niż o gorzkie sprawy swego narodu. Z policją było co innego.

Trzeba było szukać aktorów. Wszyscy lepsi wyjechali, wśród tych, co zostali, było tylko kilku pierwszorzędnych, reszta wcale mizerna.

Ide do pierwszorzędnego komika, który sobie założył sklepik i handlował jajami i słoniną.

— Przyjacielu, będziesz grał?

— Nie mam czasu, nie będę...

— To teatr djabli wezmą...

— Jezus, Marja!

— Będziesz grał?

— Kiedy próba?

Przychodzę do Siemaszkowej.

— Pani Wando, trzeba grać. Gaża pięćdziesiąt rubli miesięcznie.

U Siemaszkowej bieda wojenna aż skwierczy. Słowa nie mówi, tylko zbladła z radości, że będzie teatr.

Najlepsi aktorzy brali po czterdzieści, pięćdziesiąt rubli. Płacić nie było z czego, z głodu ginęli, ale grali. Kochane, złote chłopaki, dzielne kobiety.

Zacynamy „Halką“. Już jednak pierwszego dnia pokazało się, że pozwolenie uzyskać było łatwo, była to bowiem sprawa przez pół dyplomatyczna, ale wykorzystać je będzie trudniej, gdyż to sprawa zupełnie policyjna. Policmajster (o, co za łajdak!) oświadcza, że nie da pozwolenia na wystawienie „Halki“, jeśli mu się nie przedstawi egzemplarza z pozwoleniem cenzury warszawskiej.

— Panie pułkowniku, — mówimy mu, — przecież to „Halka“.

— Wiem, znam, grali w Kijowie, to i co z tego?

— Na cóż panu cenzury?

— Taki rozkaz!

— Bogdajeś zczeszł, psi synu! — powiedziały mu nasze oczy.

Później skończył w kryminale, ale nieznana przyszłość nie mogła nas pocieszyć. Kulturalny generał-gubernator dał osobne pozwolenie, ale polimajster jeszcze bardziej się zawziął. I oto co dnia był taki dialog.

— Przecież to „Faust“, panie pułkowniku.

— Wiem, znam, widział, ale nie wolno.

Wszystko złodziej widział, znał i słyszał, ale nie pozwala. Ręce opadały. Postaraliśmy się o teatralne afisze warszawskie, ale i tego za mało.

— Musi być egzemplarz z cenzury.

— A cenzor tutejszy może pozwolić?

— On nie, to nie jego sprawa, trzeba z Warszawy.

O, jacyśmy byli naiwni... Poprostu jeszcze nie umieliśmy gadać z Moskałem. Wreszcie znaleźliśmy człowieka, wśród sfer teatralnych, który „umiał gadać“. Gadanie polegało na tem, że się co wieczora dawało bezpłatnie najlepsze łoże, że się dawało różne rzeczy.

Wtedy zaczęło jakoś iść składniej, rodziły się jednak pretensje innego rodzaju, rozumnie umotywowane:

— Gaspadin dyrektor, co panowie wyprawiają?  
Ha!

— A cóż my wyprawiamy?

— Jakto co?. Trzeci raz grają u was „Halkę“.

Moja żona niema co zrobić z wieczorem, a trzy razy na „Halkę“ nie pójdzie. Trzeba już coś nowego.

— Bogdajesz się udławił, draniu jeden! — rzekły znowu nasze oczy.

I tak się grało, trochę na głodno, latając rozpaczliwe luki w obsadzie, bo i inspicjent grał i sufler musiał być aktorem. Mali aktorzy rżnęli się na palce, aby choć w ten sposób podnieść się ku dawnej chwale tego teatru. Udawali wszyscy, że wszystko jest tak, jak było, że wojna nie mogła szarpnąć zębem tego szlachetnego przybytku. Aktorzy robili wiecznie swoje dowcipy, aktorki dostawały spazmów z powodu złej roli, lub recenzji przygodnego, wojennego krytyka, dla którego trzeba było aż wojny światowej, by go dopuszczono do napisania o teatrze. To też pisał ten i ów, aż się kurzyło. Wszystko było, jak przedtem.

Rozpacz brała jedynie, kiedy wlaźło do wytwornego tego teatru barbarzyństwo; czasem przychodził do teatru dziki jakiś Kałmuk z jakiegoś przechodzącego przez Lwów pułku. Przychodził, bo się świeciło, przychodził naturalnie urżnięty i wlaźił do łoży z płonącym cygarem, ku zdumieniu, oburzeniu i trwodze publiczności. Takiego można było wyrzucić, gorzej jednak było z dzikim, który tak się zachwycił w głębi swojej czczeńskiej duszy jakąś piękną aktorką, że się wdzierał za kulisy i — jej Bohu! — chciał się zaraz żenić. Padał na kolana i prosił cały teatr na pijaństwo, jakiego świat

nie widział. Trzeba było wyrafinowej dyplomacji, aby takiego śmiesznego zwierza wyprawić za drzwi.

Były i inne dzikie warjaty. Kiedy grano „Zaczarowane Koło“ — urządzano jezioro, bardzo pomysłowo i pięknie, w jeziorze zaś, na maszynie pływały cztery ładne chórzystki, wcale wdzięczne i w strojach pięknych lecz dobitnie kąpielowych. Zobaczył to jakiś warjat z Syberji i oczy mu na wierzch wylazły. Myślała dzika małpa, że to cud. Był to okaz sympatyczny. Wprosił się za kulisy i chciał ofiarować pierścionek, byle mu to pokazano zbliska. Prosił o to tak rzewnie, że się trzeba było uśmiechnąć.

Od czasu do czasu jakiś dobry aktor przewędrować zdołał przez Rumunję i natychmiast szedł na scenę. Przyjechała Korolewicz-Waydowa i śpiewała zaraz nazajutrz. Dekoracje łątało się z genjalnym sprytem, bo nowych nie można było sprawić, kostjumy zszywało się jak można. Orkiestra była doskonała, śpiewacy pierwszorzędni. Z dramatem było gorzej. Grano jednak znakomicie Shawa „Pygmaljona“ i jeszcze jakąś norweską sztukę, której tytułu nie pamiętam. Kiedy jednak inspicjent musiał wyjść na scenę, aby zagrać rolę, którą przed nim grał jakiś znakomity aktor, wtedy dostawałem, jako „kierownik dramatu“ tego ostrego szału, który się może skończyć samobójstwem. Całe szczęście że nie mogłem pisać o swoim teatrze, jako krytyk, bo byłbym się nadział na rożen, oskalpował, wylupił oczy i powiesił za nogi. Dyrektorowie teatrów mają czasem

zwarjowane szczęście. Ha! Ja je miałem przez dwa miesiące moich rządów, które mi dobry Pan Bóg kazał zapisać w niebie, w wielkiej handlowej księdze w rubryce „ma“, zaś mocno zamazaną moją rubrykę „wien“ kazał przekreślić. Bo i zrób tu teatr, kiedy główną rolę gra Siemaszkowa, bohatera dwudziestoletni młodzian, a czarny charakter zawsze uśmiechnięty, pogodny jakiś człowieczyna. Za to jednak, że się teatr ocaliło, że w nim nie zrobiono szpitala, czy składu, chodziliśmy dumni.

Moskale chodzili do tego teatru zachłannie, szczególnie na operę i operetkę, swoi chodzili mało, gdyż nie było za co, zresztą wyprawa do teatru była pewnego rodzaju ryzykiem. Policja rosyjska robiła czasem najgłupsze dowcipy: wychodzą z teatru ludzie, wtem otacza ich policja i zabiera ich do kopania okopów.

Teatr musiał się kończyć o godzinie dziesiątej. Zdarzało się, że o godzinie pół do dziesiątej brakowało całego, długiego aktu do całości. Sposób kończenia sztuki był najprostszy w świecie, grało się scenę pierwszą, opuszczano się potem scen czternaście i grało się piętnastą, w której zwykle dobrzy ludzie się żenią, lub robią sobie podobną przyjemność, dusząc się nawzajem, lub jeden drugiemu wbija w serce tępy nóż. Sufler nabrał wreszcie takiej wprawy, że jednym rzutem ręki odwalał czterdzieści stron egzemplarza.

Szło o to, żeby teatr żył i teatr żył.

Sprawę tę jednak inaczej rozumiano po drugiej



stronie frontu, gdzie myślano po austriacku. Żadna pa-  
ła nie chciała tego pojąć, że się teatr ratowało, że przez  
otwarcie teatru w czasie nieznośnej okupacji, chciano  
podtrzymać moralnie ludność lwowską, każdym zaś  
polskiem, cudownem słowem, co padało ze sceny głosić,  
że to miasto polskie, że to polski teatr, że to Zachód,  
kultura, sztuka wysokiej miary, że ten teatr, to środek  
dezynfekcyjny i drut kolczysty, którym się trzeba było  
odgradzać od barbarzyństwa, wódki i dziegciu. W Wie-  
dniu powiedziano sobie, że teatr „otwarto dla Mos-  
kali“. Austriackie gadanie było i śmieszne i niemądre,  
nigdy zresztą innem nie było. Trudno to było jednak  
tłumaczyć jakiemuś równie dzikiemu, jak Kałmuk, co  
uciekał, pułkownikowi honwedów, co znowu wracał.  
Ten dziki i ten dziki, ten obwieś, co bierze łapówki,  
tamten odrazu wiesz. A porządny człowiek był w  
środku.

Trzeba by przerwać robotę i wycofać się przed de-  
nuncjacją lub złośliwością. Tak to są dziś, z oddali  
rzeczy małe i śmieszne, że nie warto o nich wspominać.  
Kiedy jednak wczoraj, po kilku latach, siedziałem w  
lwowskim teatrze, przez długą chwilę nie widziałem  
nic... Potem wspomnienia. Dlatego tylko o tem piszę,  
bo mi się przypomniał dzień, w którym trzeba było  
opuścić najdroższe to miasto. I miasto i tę redutę jego  
pyszną, wspaniałą i bezcenną: teatr. Jest on najwspan-  
ialszym budynkiem Lwowa, jego dumą i ozdobą, do  
wojny był pieścidełkiem, ukochaniem i wszystkim. Te-

raz zszedł do podrzędnej roli, bo ukochaniem i wszystkim, — jest dla Lwowa cmentarz jego obrońców.

Po tem słowie nie należy bez przerwy napisać żadnego innego.

## II.

Ten list—to nie ja pisałem... Pisał go ktoś kto, co miał łzy w oczach.

Przyjechałem do Lwowa na Targi Wschodnie.

Tyle o nich napisano, że moje trzy grosze w tym interesie są już zupełnie zbędne, mego listu tam nie wystawią, tam bowiem wystawiają solidne wyroby, nie feljetony z pianki. Udało mi się jednak uczynić kilka spostrzeżeń t. zw. „zezowatych“, patrzyłem bowiem pod kątem. Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Targi Wschodnie są złośliwym wymysłem Lwowa pod adresem Warszawy, byle stolicy dokuczyć; jest to robienie ironicznych min i rozdymanie się. Naturalnie. W Warszawie już raz zrobili wystawę królików, raz jabłek i śliwek, a raz chryzantemów, więc wystawy w dobrym guście, wyjąwszy rozpustne króliki, wytworne, wyjąwszy króliki — pachnące. A taki gruboskórny Lwów wystawia zaraz maszyny, smary, węgiel, naftę, sól, mydło, wszelkie jednym słowem świństwo, nieładne, ciężkie, brudzące. To, że wystawił, to jeszcze nic, ale się tem cieszy, puszy, pyszni. Wogóle jest to miasto zwarzjowane i to od korzeni do latorośli. Pytam na Targach andrusa, co ma osiem lat:

— Mój drogi, jak tu można dojść do restauracji?

— Cholera ją wi, — powiada andrus, — ta idź pan koło gazoliny, potem tam, gdzie tamtego roku był pawilon Przemysłowego, a jak pan minie Borysław, to tam stoi policjant. Ta on już panu powie.

Tak sobie oszalałe to miasto wychowuje — nawet andrusów. Co z takiego wyrośnie?

Śliczna panienska umawia się ze studencikiem. Zawrócili parę razy oczyma, jak należy.

— Jutro o drugiej...

— Tak, o drugiej...

— Gdzie?

— Pawilon tkacki...

Zwarjować można, bo tu wszyscy poszaleli. Targi i targi. Żydek, co kupuje stare portki, wrzeszczy na podwórzu, jak opętany:

— Handel wschodni, handel wschodni!

Czy to ładnie, żeby nawet żyd?... Myślałem, że i ja oszaleję; prowadzą cię na targi; widziałeś już dziesięć pawilonów, zaczynasz omdlewać. Wtedy ci mówią:

— Proszę pana, jeszcze wosk i nafta...

— Panie, to mnie mało....

Lwowianin spojrzał dziko i nieufnie.

— Jakto? Pan by opuścił taki pawilon?

— Ależ nie, nie, niech Bóg broni!

Widziałeś już wosk i naftę; w mózgu masz wszystkie kopalnie świata, w nozdrzach zapach wszelkiego drogocennego paskudztwa. Wtedy ci śliczna lwowianka powiada:

— Teraz to ja panu pokażę maszyny.

Jezus, Marja! Pytam bulgotem rozpaczy:

— Co się pani rozumie na maszynach?

— Ja? (wzrok się zmienia w kamień) — ja, proszę pana już piętnasty raz oglądam ten dział... To pan nie chce?... (piorun wisi na rzęsie i walnie cię w łeb lada chwila.)

Spróbuj, biedny człowiek, nie oglądać maszyn. Niedużo tego jest — roboty na jakie dwie godziny.

Dawniej miła panienczka mile rzekła kochankowi, daj mi luby kanareczka, a dziś każda swemu powie:

— Chodź oglądać dwa tysiące maszyn, bo cóż jest miłszego dla Lwowianina, jak łązić po deszczu przez dwie godziny i oglądać młocarnie, sieczkarnie, tokarnie, i inne cholery.

Zeby to jeszcze rzucić okiem, jak każdy uczciwy człowiek na każdej robi wystawie, potem wykrzyknąć: ach, wspaniale! — i pójść, — toby można jeszcze zrozumieć, ale w tem piekielnem mieście to się nie da zrobić. Tu nie umieją blagować i nie po to budowali sto pawilonów i całe przestrzenie zawalali żelaznymi potworkami, szczerzącymi zęby, albo wyciągającymi w górę żelazne ramiona, aby przejść obok tego „oficjalnie“. O niczem innem się nie mówi, o niczem innem się nie myśli; Lwowianie to naród prędko w czynie, lecz i uparty. Jeśli umiesz tę ogromną, cudowną pracę ocenić, toś przyjaciel, i wtedy żądaj, czego dusza zapragnie.

'Ale się też napracowali, Boże jedyny! W mieście stoją domy ranne, z czerwonymi, ceglastej barwy ranami, poszczerbione i dumne. Przy którejś ulicy leży trup domy, jego szkielet, osmolone zwłoki, szczerzące trupie zęby zrębów — a oto już na załomie muru wytrysnęła młoda, mała, zielona brzoza i rośnie na tym straszonym murze. To rośnie symbol. Pokrwawili ich tam, poszczerbili, namęczyli, ale Lwów niema czasu na rozpamiętywanie. Wiersze o tem napiszą w Warszawie, a Lwów musi żyć, rość, jak ta brzoza, giętka i śmigła. To też wyrosły te Targi Wschodnie, jak drzewo z ziemi, zroszonej krwią, wytrysnęły, jak mocny rzeźki głos, ze śmiertelnej ciszy, jak źródło na pustyni, ożywcze i krzepiące.

Gdzieś tam się kłócą i targują — Lwów buduje. Studenci budują sobie dom, sami noszą cegły, sami gaszą wapno, starsi budują pomnik sile polskiej i polskiej twórczości i budują fortalicję ze srogich bierwion na rubieży Rzeczypospolitej, redutę na straszliwych fundamentach, śpichrz obszerny; napadnięto ich, obronili się, zapomniano o nich, mało sobie co z tego robili, zachnięto się na nich, — uśmiechnęli się. Bo Lwów jest miastem, które się zawsze uśmiecha.

Jest to taki zawadjaka z płowym wąsem, a z duszą dziecka; bohater, który zdławi hydrę, lecz musze nie uczyni krzywdy; szlachcic od stu pokoleń, który niema w sobie żółci; szalałaputa, pędziwiatr, czysty warjat, kiedy idzie o sielankę Szymonowicza, o miłość i o miód, stra-

szny człowiek, kiedy mu kto drogę zastąpi. Sumienie ma czyste od wieków, jak kryształ, serce miłujące, duszę lwią — więc patrzy w świat niebieskiemi oczyma wielkiego dziecka, z uśmiechem tak cudownym, że gdyby nie za krew wylaną musiało się kochać ze wszystkich sił to miasto, — musiałyby się je miłować za ten uśmiech.

Lwów umie się bić o honor swój, jak Bayard i umie się bawić, jak młody szaleniec; śpiewa, tańczy i śmieje się w głos. Jeśli spotkany na lwowskiej ulicy człowiek patrzy wilkiem, to pewnie przybysz, to nie tutejszy. We Lwowie patrzą jasno, wprost w oczy i zaraz jeden z drugim podzieli się sercem i duszą. Taki jest rdzeń Lwowa, takie jest drzewo potężne i rozszumione, które — rzecz oczywista, — obsiadły kawki, gawrony i kruki w chałatach.

Każde słowo o lwowskiej, najcudowniejszej epopei będzie mizerne i puste. Może wśród tych płowych, najdroższych malców, co dźwigali większe od siebie karabiny — narodzi się kiedyś wielki poeta, który zagrzmi hymnem na cześć tego, co przeżył. A może ten poeta leży już w grobie, który każda wiosna kwiatami stroi, bo ziemia chce dać wyraz swojej dumie, że chowa w sobie bohatera, co miał lat czternaście. Jeśli tak jest, to jakiś śpiew homerycki o Lwowie będzie się podawał przez powietrze i przez wieki.

Byle słowem, pierwszym z brzegu, mówić o tem nie wolno.

Wolno jednak uradować się weselem Lwowa.

Kiedy się przyjeżdża do Lwowa, odnosi się wrażenie, że się długo jechało przez zakopcony tunel, że w pociągu było ciemno, że ludzie trzymali kurczowo swe walizki, aby im kto nie ukradł, że jeden na drugiego patrzył w mroku ostrożnie i z podejrzliwością, a oto nagle wjeżdża się w atmosferę czystą, w powietrze rześkie, w miasto rozświetlone, między ludzi jakichś innych, gadających swoim językiem bez dyplomatycznych zakrętaśłów, żyjących pełnią swego życia i z uśmiechem patrzących na twoje zdumienie.

Myślisz sobie: jakże wyglądają te lwy, ci żołnierze bez trwogi, co z małej ślicznej miejsciny uczynili polski Verdun? Jakże mają wyglądać? Pogwizdując idzie smyk siedemnastoletni z książkami pod pachą. Oczy mu się śmieją, bo słońce świeci. Na piersi ma najpyśniejszą odznakę „Orlęcia“. To jest lew? Tak właśnie. To on! To małe djabeł z ukropu ognia, ten czort nieustraszony z anielskim wyrazem twarzy. A ta gruba kucharka z rynku przynosiła mu wodę i chleb pod kulami. Bóg widział.

Ten dryblas z wesołym spojrzeniem, co ci niesie walizkę, tak samo się uśmiechał przez zaciśnięte zęby, kiedy przez trzy dni i trzy nocy stał na Stryjskim cmentarzu. Ten staruszek, na ławce, w słońcu się wygrzewający walczył do utraty sił... Ta panienska ze złotym war-



koczykiem, z dziwnie poważnym wyrazem na twarzycze z okrazka...

To pióro samo, jak zaczarowane, wraca do tego tematu i orze mi po sercu... Trzeba je ująć silniej, aby głosiło radość lwowskiego żywota.

Nie byłem tyle, tyle lat we Lwowie, w którym znałem wszystkich, w którym wszyscy niemal mnie znali. Myślę sobie: zapomnieli, zagniewani, dziś wielcy, na cały świat głośni, — nie spojrzą. O, zły pismaku! Tak to znasz twój Lwów? Ledwie wylazłem skurczony z wagonu, przywitał mnie uśmiech szeroki, jak lwowski dworzec kolejowy, wyciągnęły się ręce. Więc najpierw złość porwała na samego siebie, a potem na nich. Bo jakżeż tak można? Gadają — jeden przez drugiego, każdy chce słowo serdeczne powiedzieć, każdy dotknąć przyjacielskiego serca... Ludzie, naprawdę! — jakże tak można? Więc mnie coś ułapiło za gardło, zamgliło mi się cokolwiek w oczach... Jeszcze raz powiadam: cholery, nie naród katolicki... Żebym ja, stary literat, który sobie z ludzkiej łzy tyle właśnie robi, co z kropli atramentu, musiał publicznie... tak jakoś rękawem do oka... żeby nikt nie widział,... jak uczeń, co ukrywa papiersa, żebym ja, stary cygan artystyczny, włóczęga po wszystkich drogach świata musiał — do stu lwowskich djabłów i jednego pułkownika Abrahama! — publicznie, na kolejowym dworcu nie widzieć nic dookoła siebie, bo oczy, psiakrew, na nic... wstyd i hańba!... Żeby byli powiedzieli jedno gorzkie słowo! Akuratnie! Gdyby

jeden z drugim umiał, to by może powiedział, cóż, kiedy nie umie, taki najdroższy lwowski dryblas... Jeden chwyta walizkę, jeden osobę, jeden biegnie po wehikuł i dwudziestu robi odrazu „stojące posiedzenie“, gdzie tu takiego ananasa najlepiej umieścić. Wymawiam się, ekskuzuję, przepraszam, uciekam. Także pomysł! Ukrainiec też przepraszał i uciekał, ale go przytrzymali, tylko nie tak deliktnie, jak mnie, chociaż na nic innego nie zastrzyłem. Powiadam, że mam mieszkanie, na to krzyk i objaśnienie w swoistym stylu, za którym przepadam:

— Ta, z tego nic nie będzie! Dla pana musi być magiczny pokój.

Ten wyraz „magiczny“ ma całą głębię znaczenia; powiedziano przez to, że pokój jest dobry, elegancki, „pierwsza klasa“ w którym się można upić, robić wrzask, cicho przespać i musi być tanio. Jak magiczny --- to magiczny. Ten wyraz mnie dokonał.

--- Ta Bóg zapłać! --- odrzekłem z takim lwowskim akcentem, że obok stojący policjant pokraśniał z zadowolenia, że gość obcy, co wylazł z urzędowego pociągu, to „także nasz“.

Rozważyłem, że ta bezmierna zacność, to tylko nagle oszołomienie i gorączka przed wielkim dniem otwarcia Targów i że kiedy to minie, to mi tam przecież powiedzą parę słów, jak gorzkie migdały, że mi się przez tyle lat zapodziewał, djabli wiedzą, gdzie i nie da-

łem dowodu, że należę nietylko duszą, ale i ciałem do lwowskiego bractwa.

Najzłośliwsi ludzie mieszkają zawsze w teatrze, tam się zbyt łatwo nie rozczulają. Idę tedy ze strachem za kulisy. Panie Boże! Sam widziałeś, jakich we Lwowie stworzyłeś ludzi. To są ludzie? Warjaci, szaleńcy, furjaci, nie ludzie... Całe szczęście, że jeszcze nie zaczęli przedstawienia, bo byliby je przerwali. O, chłopaki moje drogie! Tylem tego musiał w życiu nastrofować, tyle razy trzeba było powiedzieć ładnym stylem, ale na zawieszisty temat: znowuś, ścierwo, roli się nie nauczył! — albo napisać: grałaś pani, jak hiszpańska krowa! — i nic. Przyjaźń stara, przyjaźń, karmiona biedą, pojona zachwytem, obwieszona radością, jak aksamitem, buchnęła znowu z serc. Chórzystki nawet patrzyły na mnie z rozczuleniem, a ja na nie. Potem mnie najmilsza brać aktorska podejmowała ucztą; podawano serca i pito przyjaźń. Jeden stary się spłakał, bałwan kochany... I wciąż: „a pamiętasz?“ — „a pamiętasz tę premjerę, kiedy to Pawlikowski?...“ — a ten bał, kiedy Chmieliński prowadził poloneza, a Żelazowski grał na gitarze do tańca?...“ — „a to, a owo“...

A, jakże! pamiętam, pamiętam.... I pamiętać będę do końca życia tych aktorów pysznych, wspaniałych, dzielnych, te dzieci stare, rozigrane, będę klepiące, a zawsze wesołe, tych szaleńców, co nie przerwali przedstawienia, choć granat walnął w scenę, tych niesprzedaj-

— —

nych, których żadna gaża nie skusi, bo Lwów im ponad wszystko jest droższy.

Dlatego ten tam chlipie, właśnie dlatego... Nową butelkę szampana przynieśli, a to stare chopisko płacze, bo się o Lwowie gada... A niech was wszyscy djabli... Czy ja serce wygrałem na loterji?...

---

### III.

Człowiek z dziwną manją. — Wielka uroczystość, — Dyalog z duszą Lwowa.

W czasie trwania Targów Wschodnich jeden ze znakomitych lwowskich ludzi dostaje dziwnej manji. Oto każdego dnia o szóstej rano wychodzi przed dom i patrzy jednym okiem w górę, jak czapla, albo gąsior, co wypatruje jastrzębia. Wyciągniętą dłonią bada, czy mu co na nią nie kapnie. Potem ciska na powietrze obrzynki z gazet, badając kierunek wiatru. Czasem wstaje w nocy i czyni to samo. Pada deszcz. Człowiek czyni się na twarzy ołowiany. Mówi: psiakrew! i idzie się martwić do domu, gdzie z tego samego atmosferycznego powodu płacze już jego żona rzewnymi łzami. Niech jednak zrana niebo się przetrze, człowiek ten dostaje obłądu z radości. Biega w radosnej furji, drąc się w niebogłosość: Pogoda! Pogoda! Pogoda!

Sądząc z tego, nie jest to fabrykant parasoli. Ale, żeby mały, uporczywy, siedmiodniowy lwowski kapuśniaczek mógł kogo aż tak martwić! Oni się tam wszyscy tak byle czem przejmują. Zaintrygował mnie mocno ten człowiek. „Ktoś mi znany, ktoś kochany...” Ach! to pan dyrektor Marjan Turski, twórca Targów Wscho-

dnich... To on wpada w rozpacz, że deszcz pada, że ludzie nie pójǳą na jego zwarzowane Targi wachać wosk i smary do maszyn... To on, który od północy odmawia nerwowo „Królu Boże Abrahama“, co podobno jest na zmianę pogody skuteczne. A ja myślałem, że ło warjat, a to człowiek tak porządny, że dotąd nawet nie ma jeszcze orderu.

Wie jednak ten człowiek, czemu się tak martwi. Deszcz we Lwowie to nic, ale po deszczu... Ha! W tem miejscu potrzebny jest komentarz.

Kiedy się po długiem niewidzeniu spojrzy na to drogie miasto, — serce się ściska; wygląda, jak bankrut, kiedyś świetny, dziś odrapany, odarty, zbiedzony, obłocony, w dziurawych butach. Płakać by się chciało, bo cóż ono temu winno? Wojna chodziła tędy tam i z powrotem, gryzła wściekłem zębem domy, rozdmuchiwała pożary, trzęsła murami, a kiedy miała chwilę spokojną, niszczyła bruki, chlapała błotem, siała wszy i tyfus, sprowadzała litwaków, niszczyła drzewa, brudziła ściany domów, sparszywiała konie, z ludzi zdierała stroje i zmieniała w łachmany. A biedne miasto, kiedyś dumne ze swojej czystości, pyszne ze swojego wdzięku, jęczało głucho i płakało... Ileż mu teraz trzeba czasu, aby się oczyścić, wygładzić, połatać, zamurować szczyby i pozbyć się litwackich pluskiew. Ilu trzeba rąk, by zgarnąć rzeki błota, bo płynie ono rzeką. Kiedy szedłem żydowską, ohydną ulicą, która prowadzi do najweselszego teatru, z gęstwy błota wyrzała ku mnie rozpacz taka, co

mieszka na bagnie, cuchnie zgnilizną i oczy ma zielonkawe. Nie zwarjowałem, lecz się uśmiechnąłem. Przypomniał mi się taki angielski dIALOG: w błocie po szyję stoi dżentelman i krzyczy o ratunek, bo tonie.

— Jakże pan mógł wleźć w taką dziurę? — pyta go ktoś litościwy.

— W dziurę? Panie, ja stoję na dachu omnibusu!...

Jeżeli w Anglii mogła powstać taka anegdota, to jednak we Lwowie może być trochę mniejsze błoto; a jeśli się nie chce widzieć błota, tylko mieć „przedwojenną wizję miasta, trzeba pójść na wzgórze, nad pysznym parkiem Kilińskiego, który się dlatego tak nazywa, że w nim stoi straszliwy pomnik bohaterskiego szewca; pewnem jest, że Kiliński lepsze szył buty, niż rzeźbiarz, który go rzeźbią zbezczęcił.

Na terenie Targów jednak, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi tłamsi codziennie niewinne na pozór błoto, po kilku godzinach musi angielska anegdotka mieć ilustrację żywą i dobitną.

Dlatego pan Turski się martwi. Czem się zresztą ten człowiek nie martwi? Tem, że pół Ameryki nie wyjechało na Targi, że nie mógł zbudować tysiąca pawilonów, że cały świat nie oszalał z podziwu dla Polski. Straszny człowiek. Chłopię lwowskie — „orlątko“, to symbol bohaterskiego Lwowa — taki pan Turski to jego symbol pokojowy, to saper bohaterskiej armji, to budowniczy mostów, to taka lwowska psiakrew jedna, co z piasku coś ukręci, z niczego zbuduje, ruch ogromny

uczyni, energją zarazi, wścieknie się na głucho i nocami będzie tłukł młotkiem i rzezał piłą, a przecież pawilon postawi.

Nieprawda, głupia nieprawda, że jesteśmy narodem leniwców. Takich żelaznych ludzi jest w Polsce mnóstwo, mnóstwo ich jest nawet w Warszawie, tylko nie wszyscy mają otoczenie odpowiednie. W zapalnym Lwowie, gorącym, rzutkim, dzielnym, jeden taki człowiek cuda czynić może. I jemu było z początku trudno, ale kiedy „szczyry“ Lwowianin zobaczył, jak drugi Lwowianin pracuje i tłucze głową o mur na chwałę miasta i dla dobra Ojczyzny, zaraz się także wściekł i zaczął także nosić cegły i kamienie. Dlatego tacy oni tam są z Targów Wschodnich dumni, bo się wszyscy wściekli i wezbrali zwarjowaną energją.

Pan Turski to reprezentant tej oszalałej energji; on ją przedstawia na zewnątrz, on komenderuje. Człowiek, jak wieża, kość i żyła, gęba mądra, manjery angielskie — jednym słowem taki człowiek, z którym nie zadzierać. Z Lwowianinem wogóle lekkomyślnie zadzierać nie należy, ale z tym to tembardziej. Gładki, miły, wesoly, gościnny, ale niech mu ktoś terminu roboty nie dotrzyma, niech ktoś zobowiązanie skręci, niech ktoś porządek na tych jego Targach popsuje... Czuję pewną przyjemność że niczego na Targach nie wystawiłem, bo byłbym jakąś gapę zrobił, a Turski, choć przyjaciel... Taki to się chyba nawet żony nie boi... We Lwowie i takie rzeczy są możliwe. To szaleńcy i straceńcy.



Otóż ten największy handlarz polski, pan Turski, zrobił rzecz naprawdę niebywałą. Żywot wieczny im daj, Boże Abrahamów i Izaków, bo ci się chyba znają na handlu.

Przyznam się, że strasznie lubię wszelkie parady i uroczystości, ale najbardziej lubię je we Lwowie. Najlepsze pogrzeby są w Krakowie, obchody uroczyste robi najlepiej Warszawa, Lwów zaś wszystkie obchody robi doskonale. „Specjalnością domu“ stało się tam otwarcie Targów. Pół Lwowa dnia tego jest w gorączce, drugie pół stroi miny poważne i uroczyste. To senatory grodu. Wojsko, policja — to wszystko nic. Ministry mała rzecz, tego towaru zawsze jest zapas. Ha! Ale któż ma (poza Krakowem) „Króla kurkowego“ i bracie strzelecką?! Na każdą taką uroczystość zacni ci ludzie zmieniają się w kasztelanów, wojewodów, strażników i cześników. „Jaka godność, jakie wzięcie!“ Kontusze, karabele, trzęsienia u czapek. Gęby takie sobie, od piwa, ale reszta! Kiedy taki lwowski kontuszowiec stąpa — Panie miły! — ziemia drży i tramwaj jest nieszczęśliwy, że z drogi mu ustąpić nie może. Z karabeli lecą iskry, z kontusza lecą mole. Głowy wszystkie — ha! głowy metternichowskie, talleyrandowe, politycy to są bowiem z dziada pradziada i byle czem ich nie zwiedziesz. A sam król kurkowy, co „zrobił gwoździa“! — nastaw na niego Lloyda George’a, a „nasz“ przecie da mu radę i głowacz znamienity przepędzi Dawida sromotnie

Na takie dni uroczyste, polityka — panie dobrodzieju — na boku. W takie dni kochajmy się, bo i Francuzi przyjechali i Turki i Angliki. Zresztą kinematograf ustawili, więc o tem przedewszystkiem myśleć trzeba, aby „wyjść“ z miną; wás się sam pręży, karabela sama trzaska ze wzruszenia.

Bardzo to jest ładne, a nikomu nie szkodzi; dzielni są to ludzie, patrjoci zacni, tylko bardzo lubią gest. Pewien jestem, że jeśli który z nich słyszy w „Weselu“ te słowa: „jeszcze dużo pozostało tych Polaków, co są piękni!“ — każdy się puszy, bo to pewnie o nim.

Stanęli półkołem, a na podniesieniu matadory. Prezydent miasta w kontuszu, z miną zawieszistą, wiceprezydent pierwszy, człowiek cudownego serca, ambasador miasta na zewnątrz, więc w tuzurku, rajce butne, ministry, radcy, nadradcy, szefowie, — sama śmietanka. Kinematografowi oko zaszło mgłą zachwytu.

Pan Turski gada. Głos potężny, słowa z żelaza i z cementu. Żadnych frazesów, tylko pawilony:

„...Zbudowaliśmy.. jesteśmy.. będziemy.. będziemy budowali... w pysk dostanie każdy, coby chciał przeszkadzać... Kto nie chce robić, niech idzie do diabła... Kto pracuje, ten przyjacieli... Niech żyje Lwów..“

Nie powiedział tego stylem tak pięknym, jak ja, bo nie wypada, ale to mniej więcej w mowie jego sły-  
szalem.

I znowu:

„...Żebyśmy mieli ręce zarobić do łokci... Żebyśmy

mieli trzewia z siebie wypruć... Psiakrew!.. Ani piędzi ziemi... Nasze, bo pracujemy... Nasze, bośmy zbudowali... Jeszcze jest mało, będzie więcej... Pan Bóg z nami...“

- Dobrze gada! — szepnęła dusza Lwowa.
  - Cudownie gada! — szepnąłem duszy Lwowa.
  - A pan kto taki? — szepnęła dusza Lwowa.
  - Swój, swój! — szepnąłem.
  - Ta zaraz to sobie pomyślałam. Cześć!
  - Cześć! Po trzykroć cześć!
-

## IV.

Ostatni. — Spójrzmy i — módlmy się.

Chodzę po tym cudownym Lwowie i jest mi smutno. Wszędzie się czai wspomnienie, z każdego miejsca tryska słodycz wspomnienia. Jak się tu żyło, jak się tu pracowało!... Wszystko wyleciało z gniazda na szeroką Polskę, albo wichur to rozniósł po świecie, jak liście. Biedne jest to miasto, sieroce, opuszczone. I jeden tylko mu pozostał wierny, jeden, ale za to największy; wyleciało drobne ptactwo, a pozostał orzeł — Jan Kasprowicz, mistrz całej literackiej czeredy i nauczyciel, człowiek słodki, przyjaciel najwierniejszy, dusza dziecka, potęga granitu, czystość diamentu. Przetrwał wszystko i został na skale sam, jak spiżowy pomnik, duma i ukochanie Lwowa. Onorate altissimo, altissimo poeta! Oby trwał tak długo... Oby tak nauczył młodzież, tę, która przyjdzie, jak nas kiedyś, żaków, uczył czci dla sztuki, umiłowania poezji, wierności w przyjaźni.

Wspomnienia się wałą jak burza. Trzebaby napisać tom długi i bardzo serdeczny, na co nie czas jeszcze i nie pora. Kiedy mi się atrament zmieni w żółć i stępieje pióro, wtedy trzeba będzie po ratunek i po zdrowie

wrócić myślą do tych czasów, po pogodę ducha i po miłość wrócić do tego miasta pogody i uśmiechu.

Chowam to sobie, jak cudowne lekarstwo na chwilę niemocy serca, tę pielgrzymkę duszy do czarodziejskiego miasta.

Ostatni raz spójrzmy na nie ze wzgórza, gdzie stoi „Pałac sztuki“.

Z tego wzgórza patrzeć można z tem cudownem: Aaaa! — z którym Mickiewicz patrzył „wsparty na Judahu skale“.

Lwów, czy nie Lwów?

Florencja, czy nie Florencja?

Bajka, czy nie bajka?

Panorama rozciąga się taka, jakich niezbyt wiele na świecie. Z kotliny wyrasta kamienny, mocny, niepożyty pomnik polskiego twórczego ducha. Wielki budowniczy, naród polski, budował to miasto: wieki mu znosiły pracowicie kamienie, a on je, jak cementem, co nie kruszeje, lepił krwią swojego serca. Wielki budowniczy był człowiekiem, co miał serce ze złota, budując, nie pokrzywdził nikogo. Ludzie z dalekich dzie dzin garnęli się ku niemu, Ormianie, Rusini, Włosi, Serbowie, Niemcy, Turcy, Żydzi i inni, a on każdego obdarował, każdemu coś zbudował. Temu kościół, temu cerkiew, temu synagogę. Budował wieże przepyszne, czyste, świetne, wzniosłe. Pracował w pocie czoła, aby wszystkim było dobrze i aby uwielbili szlachetność ołbrzymia, który ogromną moc swoją zamieniał w dobro

łaskawe. I tak przez wieki wybudował miasto rozległe, świetne, śliczne, które zdobił i stroił i pięknił, aby wielki duch w mizernem nie mieszkał ciele. Góra, jak garb nad miastem wisząca, wydała mu się za niska, więc ją uwieńczył potężnym kopcem, na znak, że niema dlań nic niemożliwego, że wszystko jest za niskie dla jego zamysłów wysokopiennych, wszystko za małe dla jego mocy rozprężliwej. Równina u podnóża miasta służyła mu tylko jako równe pole bitwy, gdzie gromił i znosił, dlatego nazwał ją „Zniesieniem“. A wszystko inne pędził w górę zrębem, szczytem, wieżą, aby zdaleka wszystkim widnem było, że on, duch polski od wieków tu mieszka-gospodarz znojny, budowniczy neutrudzony, strażnik czujny, lew potężny. Cóż jemu kule, cóż jemu szrapnele? Jak lew, przez muchy niepokojony, wstrząśnie jeno grzywą i znowu znieruchomieje, wspaniały i królewski. Cóż jemu blizna na murze, albo zwalony dom? Wybudował ich tysiące i tysiące jeszcze wzniesie, wieki całe zęby wyłamały na tych murach, które on wznosił, ale nawet czas niema kłów dosyć mocnych, aby wyszczerbić diament. Do niczego innego porównać nie można tych cudów murowanych, kaplicy Boimów, jakby przez najzręczniejszych szlifierzów amsterdamskich szlifowanej, Czarnej Kamienicy, co jest djamentem czarnym, którego strzeże święty Marcin ponad drzwiami, jakby kamiennem słowem mówił: „Ktokolwiek tu wchodzisz, wiedz, że płaszczem się moim podzielę z tym, co zacność w sercu nosi, miecz jednak mam na wroga i Judasza!“

A gdzieś na domu nowym, co niedawno dopiero wyrósł świeci napis w kamieniu wykuty: *Inimice, praeteriri hanc domum!*“ — dla przyjaciół zaś brama dzień i noc otwarta.

Ileż razy z tego wzgórza patrzyłem na to miasto kresowe, co się w cudzie słońca na Florencję zamienia. Widziałem je w nocy, kiedy obwieszona jest paciorkami latarni, o wschodzie, we mgłach mlecznych i o zachodzie, we mgłach pozłocistych, w nocie księżycowe, kiedy księżyc zejść nie chce, takie cudy z tem miastem czynić umie, więc je osrebrza i złoci, i maluje, i podnosi na promieniach w górę i rozszerza gdzieś poza krańce, albo lasy odległe i sine zbliża i wieńcami miasto otacza; pieścidełko sobie z tego czyni i cudowną zabawkę. Nie widziałm go tylko, kiedy drżało każdym nerwem w śmiertelnem naprężeniu i kiedy buchała z niego rubinowa krew; kiedy lew przypadł ku ziemi i w głuchej ciszy prężył się do skoku przeciw gromadzie hyjen i szakali.

Oto miasto jeszcze śpi i jeszcze nie dzwoni i nie szemrze. Otuliły je mgły srebrzyste. Jest wielka cisza, zanim słońce djamentowemi palcami pocznie sztukać w szyby okien. Miasto w dole wygląda, jak zaczarowane. Śpi, zmęczone bardzo, bo przez wiele nocy nie spało. Odsypia nędzę, głód, udrękę, naprężenie każdego mięśnia. Dzieci lwowskie śpią, a dziś nie granat je budzić będzie, lecz słońce i słodka ręka matczyna. Usta same zaczynają mówić modlitwę poranną. Nie potrze-

ba modlitwy miastu temu, bo Bóg go doświadczył, a poznawszy, że serce ma niezłomne i wierne, miłuje je bardzo, bo jest „dla wiernych wierne“... Lecz usta szepcą same:

Żyj wiecznie, miasto wieczne. Niech cię Bóg zachowa do skończenia świata...

Grodzie lwi, bądź szczęśliwy.

Miasto, w którym w jednym grobie leży dziad, ojciec i wnuk.

Miasto, oblane krwią.

Miasto, pełne ducha Bożego.

Miasto, które cierpiało głód z radością, a nędzę ze szczęściem na twarzy.

Serce Polskie nieustraszone i nieskazitelne.

Serce, w którym mieszka miłość, co przysięgła życie i śmierć Ojczyźnie.

Miasto, które rodzisz Matki święte.

Które rodzisz dzieci, na śmierć w Polsce zakochane.

Które leniwca zamieniasz w żołnierza, a więźnia w bohatera.

Które panienki niewinne, kwiaty swoje niebieskie, wysyłasz na męki, na śmierć i nie płaczesz.

Które nigdy nie ukazało łzy na twarzy swojej, ani bładości trwogi.

Które nie zwątpiło nigdy i nie znało chwili słabości.



Które koszulę ostatnią odda sponiewieranej Ojczyźnie.

Które każdym kęsem chleba się podzieli.

Miasto, któreś jest Arką Przymierza i Wieżą z kości słoniowej.

Które mówisz: Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy Ojczyzny kochać nie umiecie, a ja was nauczę...

Które przebacza, że o niem zapomniano, kiedy brodziło we krwi własnej.

Któreś jest kościołem miłości na opoce ducha.

Któreś jest żołnierzem dzielnym, wojownikiem śmiałym, rycerzem bez zmazy.

Któreś jest nauczycielem ofiary.

Któreś jest tym, co się nigdy nie zaprze imienia świętego.

Bądź szczęśliwe, bądź zawsze szczęśliwe!

Przez krew młodzieniaszków swoich — bądź potężne. I wielkie i wspaniałe i niech ci Bóg, otoczony tymi, co za ciebie padli, rozrzewniony i wzruszony, da spokój wiekuisty, abyś mogło pracować i rość, jak dąb.

Oto słońce wstało i ucałowało lwowskie mury ze czcią, a miłością.

O, jakżeś cudne jest w tem złotem słońcu, najdroższe miasto moje!.....

K O N I E C .



BIBLIOTEKA  
Państwowe Liceum Pedagogiczne  
W GLIWICACH

## W „Książkach Ciekawych“ wydano:

1. **St. Żeromskiego** „W sidłach niedoli“.
2. **M. Wierzbńskiego** „Siostra Felicja“.
3. **W. Filochowskiego** „Amulet Ozyrysa“.
4. **An. France'a** „Święty Satyr“.
5. **R. Kipling'a** „Niesamowite opowiesci“.
6. **J. Gobineau** „Gamber Ali“.
7. **E. Ligockiego** „Komandor Sidi Numan zu Stollberg“.
8. **J. Grabowskiego** „Granum Salis“.
9. **J. Lemańskiego** „Prawo mężczyzny“.
10. **G. Daniłowskiego** „Nad urwiskiem“.
11. **A. Dygasińskiego** „Nowele“.
12. **Teffi** „Kobieta demoniczna“.
13. **E. Hoffmann'a** „Panna de Scudery“.
14. **M. Domańskiej** „Fotografje mówią“.
15. **G. Flaubert'a** „Legenda o Św. J. Szpitalniku“.
16. **St. Sieroszewskiego** „Drogi cierniowe“.
17. **R. Stevenson'a** „Morderca Markheim“.
18. **Mark Twain'a** „Historja podwójnie detektywna“.
19. **J. Krzewińskiego** „121—2—3“.
20. **A. Awerczenki** „Moje uśmiechy“.
21. **Z. Rabskiej** „Barbarzyńca“.
22. **Z. Nałkowskiej** „Na torfowiskach“.
23. **Condivi'ego** „Żywot Michała Anioła“.
24. **B. Adamowicza** „Wesoły Marszałek“.
25. **B. Kellermann'a** „Wśród Świętych“.
26. **T. Dostojewskiego** „Z pamiętników nieznanomego“.
27. **E. Ligockiego** „Lew Św. Marka“ (romans).
28. **E. Żmijewskiej** „Żona“ powieść.
29. **K. Makuszyńskiego** „Moje listy“.

## W przygotowaniu:

30. **Pierre Benoit** — „Dla Don Carlosa.“

Wydawca:  
**Feliks Gadomski.**

Redaktor:  
**Stanisław Miłaszewski**

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

21564